

LITERACKI

I

# Polityczny spadek

PO

A. WIELOPOLSKIM.



POZNAŃ.

NAKLADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ŻUPAŃSKIEGO.

1880.

Skład główny w Księgarni  
J. K. ŻUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA  
w Krakowie.

9, -

LITERACKI

I

# Polityczny spadek

PO

A. WIEŁOPOLSKIM.



POZNAŃ.

NAKLADEM KSIĘGARNI JANA KONSTANTEGO ZUPAŃSKIEGO.

1830.

Skład główny w Księgarni  
J. K. ZUPAŃSKIEGO & K. J. HEUMANNA  
w Krakowie.

93(438)9.92 (Wielopolski)

LITERACKI

Wielopolski

WIELOPOLSKIM

31077/2



POZNAŃ

Drukarnia J. I. Kraszewskiego (Dr. W. Lebiński) w Poznaniu.

## I.



mierć prawie nigdy nie przychodzi w porę i najczęściej każe na siebie czekać tym właśnie, dla których byłaby ona jako najbardziej miłościwa pani. Do liczby tych ostatnich należał niezaprzeczenie margrabia Aleksander Wielopolski, po zejściu z widowni politycznej w 1863 roku. Czarna melancholia, w którą był zapadł jeszcze przed odjazdem z Warszawy, oddziaływanie moralnych cierpień na fizyczny organizm, atak apoplektyczny w 1866 r., nadmiarem cierpień spowodowane usiłowanie samobójstwa, przerażające w tak energicznym i tak religijnym człowieku, wreszcie 11 lat powolnego konania w odosobnieniu od świata, w niczem nie przerwanej rozpacz — to wszystko razem wzięte za ciężkie, jako brzemie, na jednostkę, chociażby kolosalnych rozmiarów. Margrabia wiedział, że żywy do ojczyzny nie wróci (A. Wielopolski, przez A. Lisickiego. Kraków, 1879, str. 444), że w wielkiej walce narodowo politycznej, w której całe swe życie położył, przegrał wszystkie stawki co do jednej a „wodzowie co bitwy przegrywali nie mają prawa przechodzić do potomności“ (I. 447). Wie-

łopolskiemu nawet po katastrofie nie zabrakło na poczcie, aczkolwiek nielicznym, wiary jego politycznej spółwyznawców; posiadał on też nieco ludzi fanatycznie do osoby jego przywiązanych, ale to były krople w morzu, a ciche głosy współczucia głużył piekielny koncert szyderczych śmiechów nieprzyjaciół imienia polskiego i przekleństw miotanych przez ogół roznamiętnionych rodaków. Możliwość zapoznania celów i czynów działającego przez społecznych wchodzić musi w rachunki każdego wielkiego polityka, którego nie pływa, jak korek po wierzchu wypadków, ale usiłuje nad nimi zapanować i wyzyskać je na korzyść swojej idei. Wielopolski od dawna tę możliwość obliczył jeszcze w swych „Myślach i Uwagach“ (Kwartalnik naukowy krakowski, wyd. przez Helcla, 1835 r., przedrukowane w Kronice Rodzinnej 1878 r. 290): „każdy rezygnować się na to powinien, iż od massy, która drobne tylko atomy pod rozbiór brać umie, będzie niepoznany i temu słowami nie zaradzi, tylko rozwinięciem swoich czynów w zupełności“ (XXII). Historyczny człowiek, wedle W., ma pewną tylko chwilę dziejową, którą powinien w lot pochwycić: „każdy w pewnym tylko przesileniu się nieustannego obrotu dziejów jest szczęśliwy. Im wyraźniej odznacza się jego charakter, tym bardziej wyłącznie pewnej tylko chwili dziejów przeznaczają go Opatrzność“ (XXXI). Nieraz człowiek historyczny nie doczeka się przyjaznej dla jego idei konjunktury wypadków i nie zdoła „swych czynów rozwinąć w zupełności.“ O takich niedoszłych ludziach powiada Wielopolski: „nieraz przychodzą tacy ludzie zawczasie — wtenczas usuwa ich zbieg okoliczności... Inaczej takich mężów, chociażby biegiem czasu wyścignionych, historia, inaczej motłoch ocenia. Dla historii wieki wszystkie są jakby dniem jednym, dla wrzaskliwej zaś zgrai rozprawiaczy dzień dzi-

siejszy jest wszystkim, jeden odcinek całości wieków ich miarą“ (XXXI). Jest zapewne pociecha w tém, że rzucający kamienie — to motłoch, że wrzeszczący — to zgraja rozprawiaczy, wszakże jest to tak zwana *niewielka pociecha*, a rzucony kamień obraża i boli, szczególnie gdy go miotają chociażby zaślepieni, ale swoi. Ciężaru ogólnego potępienia nie odczuwa tylko chyba fanatyk, każdego innego nie może nie tchnąć zwątpienie: czym się ja nie omylił? Im kto potężniejszy rozumem, tem częściej ma na myśli rozumu tego zboczenia i zawody. Czas jednak wszystko ścięra, śmierć wszystko godzi. Kiedy bić przestało to serce dumne, kiedy na wieki spoczął ten szermierz chrobry, okazało się nad spodziewanie, że już przygasły ogień namiętności i że nastąpiła pora rozwagi. Nikt nie zaprzeczył, że zmarły był wielkim patryotą, poważne milczenie towarzyszyło pogrzebowemu pochodowi zwłok sprowadzonych, by spoczęły na gorąco umiłowanej przez nieboszczyka ziemi ojczystej. Wśród wielkich niepowodzeń margrabia miał jedno rzadkie dla polityka szczęście, że nikt go nie posądzał o nieszczerłość przekonań, o nieczyste intencje. Zarzuty tyczyły się tylko samej jego sprawy, czy była jawem czy marą, prawdą czy urojeniem? Po chwili milczącego zastanowienia bój zawrzał znowu, jeszcze gorętszy, jak to zwykle bywa, nad trupem poległego, o broń jego, o program, o cele, środki i skutki.

Począł się rodzaj egipskiego sądu nad umarłym, do którego jak najskuteczniej przyczyniła się familia, wydając dla ogłoszenia p. Henrykowi Lisickiemu cały papierowy spadek po zesłym mężu stanu, najcenniejszą po nim spuściznę. Akta procesu leżą na stole dostępne każdemu. W toku prowadzonego się badania wyświecił się

fakt jeden, mało spodziewany, że podczas powolnego konania w Dreźnie zwyciężonego wodza, pomysły jego chodziły po głowach, trafiały do przekonań, zdobywały coraz większe obszary gruntu; że Wielopolskiemu nie trzeba czekać, jak *Anhellemu* Słowackiego, „aż nastanie po nocy wielkiej dzień wielki i aż zatętnią podkowy jeźdźca wołającego o brzasku: „tu był żołnierz, niech wstanie, powstają narody!“.... Zmartwychwstanie odbyło się nieopstrzeżenie wśród nocy; umarli żyje i potężnieje w skutkach; od tego na czém skończył należy zaczynać i snuć robotę, opierając się na jego pomysłach, jak na podłożonym zrębie. Jeden z niepoprawionych zapaleńców narodowych A. G., nieupatrujący do dziś dnia w Wielopolskim nic więcej nad najpospolitszy panslawizm, gniewa się, że W. po nad głowy wyrasta i że uchodzi za człowieka prawie tej miary, a większej dla narodu ważności, niż Kościuszko (Gazeta narodowa lwowska r. 1878). Zmieniła się nawet natura robionych zarzutów, inny teraz plac boju, zapasnicy przenieśli się na stanowiska o staje odległe od tych, na których bój się toczył za czasów wielkorządztwa Wielopolskiego, a naprzód staje jako fakt niezbity, coraz trudniejszy do wytłómaczenia, ale niepodobny do darowania, że ruch 1863 r. był objawem rodzaju opętania narodowego, gorzej niż zbronią, bo ciężkim błędem politycznym, a raczej sumą kilku błędów, kilku najfałszywszych przypuszczeń: niczem nie usprawiedliwionego odwołania się do pięści, przy pełnej świadomości braku sił własnych, dla przeprowadzenia zamiarów, najpróżniejszej w świecie nadziei na pomoc zewnętrzną, żebraną w upokarzający sposób u cudzoziemców, grubiej nieznamomości moralnej strony przeciwnika w przypuszczeniu, że będziemy mieli do czynienia li tylko z rządem tak zwanego „najazdu,“ nie zaś z usposobieniami mas narodu.

których nie trzeba drażnić, bo gdy w wielkich odstępach czasu przebudzają się zachowawcze narodowe instynkta tych mas, zwykle drzemiących i mało siebie świadomych, tém większą cechę gwałtowności nosi każde takie przebudzenie się namiętne, ślepe, niewstrzymane. Dziś tego rodzaju pewniki są w obiegu, uchodzą za utarte prawie komunały, zaś przed laty dwudziestu, śmiałek, któryby je wygłaszał, uchodziłby co najmniej za sprzeniewierzającego się sprawie narodowej. Rozważającemu te odmiany, przychodzi mimowolnie na myśl złośliwa uwaga margrabiego (Biblioteka Ordynacyi Myszkowskiej, 1850. Wstęp 55): „Opinia u nas po niewczasie zwraca się do rzeczy za jój sprawą podkopanych. W takiej opinii każą nam, na wzór dawnych Egipcyan, czcić krokodyla, który zjada mięso a nad kośćmi płacze.“ — Obok tych założeń, całemu światu dziś wiadomych, są inne, niemniej pewne, lecz mniej wiadome: że ruch nasz 1863 r. niesłuchanie szkodliwie oddziałał na stan wewnętrzny społeczeństwa rosyjskiego, że zerwał słabe zawiązki poczynającego się porozumienia z Polakami, że z kwestyi polityki zewnętrznej zrobił sprawę istic narodową, że wstrzymał w Rossyi ruch reform opodał od mety, że skrajnych postępowych (t. zw. czerwonych) wyciągnął niby na patryotyczną krucyatę, na tępienie polskiego pierwiastku, a w istic rosyjskich prowincyach sprowadził szybką reakcyę, sprawił zwrot ku najprostszemu absolutyzmowi. W skutek naszój przegranej staliśmy się przez lat kilkanaście szkołą, w której się stopniowo ćwiczyły narzędzia téj reakcyi, robiąc na naszój skórze doświadczenia i spory zapas tych jańczarów despotyzmu zrobiono na lat kilkadziesiąt. — Gdyby nie ruch 1863 r., może już o téj dobie mielibyśmy przedstawicielstwo w Rossyi, zamiast którego widzimy tylko biały terroryzm i po całym cieie rozsiany trąd ni-

hilizmu. Ze zmianą zapatrywania się na znaczenie ruchu z r. 1863 zmienić się stanowczo musiała i ocena programu Wielopolskiego, co przyznają i jego przeciwnicy. „Dziś, powiada hr. Tarnowski (Przegląd polski 1879 r. listop. str. 152), rezygnować i podchodzić pod różne jarzma kaudyńskie nie sztuka, ale przedtém, ale w chwili kiedy panowanie Austrii kończyło się we Włoszech, kiedy zasada narodowości zdawała się tyleż znaczyć co zasada sprawiedliwości, a interes Francji był wszędzie, gdzie była sprawa dobra i cywilizacyi, wtedy taka rezygnacya byłaby dla ogromnej większości prawie do zrozumienia niepodobną,“ a wywód praw do bytu od traktatu wiedeńskiego nawet najwytrawniejsi ludzie poczytywali za błąd polityczny. Miarą dobroci programu nie może być nigdy stopień giętkości karków ludzkich i uzdolnienie ich do przechodzenia pod jarzma kaudyńskie, wymagań tego programu. Dobry program był od początku dobrym, bo, jak powiada Wielopolski w nieocenionych swych „Myślach i uwagach,“ był on już od razu „posadą granitową, około której inne społeczne zdobycze jako pasma gór w rozmaitych kształtach zalegają.“ Był on „podkładem,“ dla oparcia na nim „najbliższej przyszłości ponad poziomami wieku dzisiejszego w obłokach się bielącej,“ (XII) i od początku odpowiadał głównemu wielkiej polityki założeniu: „zasadę swego stanowiska założyć na istotnych społeczności pierwiastkach, nie zaś na pobocznych, powierzchownych oprzeć je wymaganiach.“ Nie sztuka, odpowiedzielibyśmy hrabiemu Tarnowskiemu, uznać konieczność pod naciskiem kajdanków na rękach, ale sztuka przewidzieć tę konieczność, pogodzić się z nią i uznać jej realne ugruntowanie, jej uzasadnioną w ogromie rzeczy ludzkich sprawiedliwość. Na takim progra-

mie sprawdzały się ulubione przez W. i cytowane przezeń (XLV) wiersze Schyllera:

Des Gesetzes strenge Fessel bindet  
Nur des Sklaven Sinn, der es verschmäht,  
Mit des Menschen Widerstand verschwindet  
Auch des Gottes Majestät.

Najlepiej uzasadnił ten program *ad usum nostri temporis* p. Tarnowski w kształcie wymuszonego, po przejściu przez kaudyńskie furtki, kompromisu: ustąp, bo inaczej zginiesz, a ginąć nie masz prawa, bo zgubisz wszystkie pokolenia, całą przyszłość, która może być, i nawet może być dobrą (151). Po przeniesieniu programu po za obręb spornych kwestyi, w tym obrębie pozostanie chyba rzecz o niewłaściwym i niezręcznym wzięciu się Wielopolskiego do rządów, o braku giętkości, taktu, sąd o poczytaniu margrabiemu wszystkich złych wypadków 1863 r., które możeby nie zaszły, gdyby oskarżony nieco inaczej postępował. Nawet ta wina rozkłada się przy poczytaniu, część jej spada na oskarżonego, część na ojców narodu, którzy dopuścili, że się stało powstanie, część na dzieci, które ojców za sobą pociągnęły, część na rząd rosyjski. Nawet w tak zredukowanem oskarżeniu nie wszystko jasne, nie wszystko uzasadnione i udowodnione. Co chwila gmatwają się wyobrażenia z czasów przedpowstaniowych z pojęciami i pewnikami nowszej daty, nabytemi przez bolesne doświadczenie. Sporo jednostronności i niekonsekwencji można dopatrzyć w pismach dwóch głównych do dziś dnia w sporze o W. zapaśników *H. Lisickim* (A. Wielopolski, 4 tomy. Kraków, 1878 i 1879 r. Domowe sprawy. Kraków, 1880 r. Le marquis Wielopolski sa vie et son temps. Vienne, 1880 t. I) i hrabi *S. Tarnowskim*. (Przeгляд polski, 1879, listopad, 1880, styczeń). By dowieść

tego założenia, odbędę pobieżny przegląd zasadniczych pomysłów tak w kościstych, faktami nadzianych opracowaniach p. Lisickiego, jak i w wytwornych, perłami stylu ozdobnych roztrząsaniach hr. Tarnowskiego.

---

## II.

**N**

każde dzieło należy przede wszystkim spojrzeć oczyma autora. P. Lisicki zapowiedział wyraźnie, że podaje nie dzieje, tylko źródło do dziejów: „nic nie ukryłem, podałem wszystko co doszło do mojej wiadomości. Żeby czytelnika w błąd nie wprowadzić, dodałem, że odpowiedzialność za sądy o ludziach, rzeczach i wypadkach piszący sam wyłącznie ponosi; kogo rażą moje dodatki niech wydrze lub zamaże w pierwszym tomie wszystko, co nie oznaczone cudzysłowami“ (Dom. spr. 6, 7). Innemi słowy: sądzie klejnot ze względu tylko na wartość drogich kamieni weń wprawionych, a bez żadnego względu na oprawę, niech ta oprawa uchodzi za brązową albo wreszcie cynową. Same kamienie zdradzają swoje pochodzenie: są to precjoza familijne, spadek literacki po wielkim przodku, pobożną ręką publiczności podany, rodzaj grobowego pomnika, wspanialszego i trwalszego niż porfir i marmury w katedrze na Wawelu. Pomnik wspaniały, ale nie isci wszystkich nadziei i wymagań, streszcza on jedną tylko stronę życia nieboszczyka, stronę polityczną. Nie weszły do zbioru akta

dwu wielkich procesów, malujące W. jako prawnika ze strony, której znaczenie sam W. w ten sposób uznawał: „od młodych lat oddałem się nauce, którą starożytność słusznie nazwała: *divinarum et humanarum rerum notitia justii atque injusti scientia*“ (Bibl. Ord. M. 1859). W życie polityczne margrabiego weszło dużo z usposobień nabytych nawyknięciami: sądowego szermierza, którego sam siebie w ten sposób maluje: „nie zaczepiamy nikogo, lecz gdy kto zastąpi nam drogę, lubimy dać się we znaki.“ (Bibl. Ord. M. 1859. str. 57). Do zbioru nie weszły: doktorska rozprawa *De idea aeternitatis*, „Myśli i Uwagi“ — główny klucz do sposobu zapatrywania się W. na świat i życie, i jedno z najciekawszych pism polskich filozoficznych, mogące służyć za dowód jak brał W. rzeczy oderwanie i głęboko, ani artykuły wstępne podane albo podyktowane do Dziennika Powszechnego. Niewydana a może i niezebrana została korespondencya. Są więc luki w zbiorze i wolno wątpić w prawdę słów p. Lisickiego, że do wydanych przezeń dokumentów „czas późniejszy niewiele dorzuci“ (D. str. 7). Wydając źródło, p. Lisicki przysłużył się prawdzie dziejowej, ale uczynił zarazem zadość chęciom i ziścił cele materyałodawców. Najzupełniej wierzymy w to, co o sobie opowiada autor, że należał do ruchu, potem się wytrzeźwił i przejął się nienawiścią dla rewolucjonistów, szczerem uwielbieniem dla margrabiego. W tych uczuciach p. Lisicki jeszcze się bardziej z rodziną zsolidaryzował, gdy znacznie rozszerzając zakres założenia, polegającego pierwotnie w tém, aby zrestaurować „moralny wizerunek człowieka,“ to jest wykazać jak się ten ostatni w słowach i czynach odmalował, przedsięwziął jeszcze oświetlić ten wizerunek, podłożył pod niego tło epok poprzedzającej i współczesnej, a malując obie obronił pamięć wielkiego człowieka od zarzu-

tów, co dało się skutecznie tylko przez odsądzenie od laurów i surowe potępienie wszystkich margrabiego przeciwników. Rozprawa o przyczynach listopadowego wybuchu całkiem nie należała do rzeczy o margrabim, ale wiążąc się ze sądami p. Lisickiego o ludziach epoki margrabiego, wprowadziło do 4 tomowego zbioru pierwiastek polemiczny, którego nie może nie wpłynąć na ocenę całego zbioru. Zbiór ten przestaje być zbiorem materiałów a staje się zarazem prostowaniem dawnych czy terazniejszych sądów o Wielopolskim. Wierzymy, że autor broni swych założeń szczerze i z całą gorliwością nawróconego, lecz jego zapatrywanie się do takiego stopnia zbiega się z zapatrywaniem się tych, którzy są spadkobiercami margrabiego nie tylko z ducha, ale i ze krwi, że p. Zygmunt Wielopolski wstąpił sam w szranki potkać się z p. Tarnowskim za Lisickiego i wręcz a bez ogródek oświadczył, że „pierwszy Lisicki śmiał wypowiedzieć „prawdę o epoce“ (Do St. Tarnowskiego Z. W. 1879). Skoro mamy przed sobą nie źródło historyczne, lecz samą prawdę o epoce, stosunek nasz do pisma nie może być żadną miarą jednaki, jak stosunek do źródła. Prawda o epoce zmała źródła, a chcąc z tego ostatniego korzystać, należy w myśli uchylić oświecenie podawanych faktów, a od faktów odkleić gotowe sądy, które do nich przyległy i w jedną z niemi złączyły się masę. Czy są opracowania p. Lisickiego „prawdą o epoce“? czy mieszczą wedle jego nie tylko dumnej ale i zarozumiałej zapowiedzi „prawdę zupełną i całkowitą“ o człowieku (Przedmowa do t. I.), o tem nawet rozprawiać niepodobna; wszakże samej prawdy, całkowitej prawdy nie obejmie nawet ewangelia, ale przecie trzeba zastanowić się czy odpowiada podawana za całą prawdę robota warunkom, wymaganym od pracy historycznej. Dosadnie i trafnie

określił p. Tarnowski sposób tego pisania: „logiczny i zgodny z sobą aż do zbytku Lisicki szedł prosto przed siebie nie zbaczając ani na włos, nie oglądając się na prawo ani na lewo, dla tego w jeden punkt zapatrzony, nie dostrzegł, że..... i margrabię przedstawił jednostronnie i epokę niedokładnie.“ P. Lisicki idzie na przelaj, tnie jak siekierą, rozumowanie jego twarde jak linia, nieugięte jak pręt żelazny. Nie zgadzamy się z p. Tarnowskim, aby w ten sposób pisały się nekrologi, bo na grób sypią się zwykle same kwiaty dla nieboszczyka, bez wyrzekań przeciwko gnębicielom jego i przeciwnikom. W ten sposób, jakim pisane dzieło Lisickiego, piszą się chyba Żywoty Świętych, albo mowy adwokatów. Wpatrzona w twarz świętego pobożna dusza korzy się przed nim i tak drobnieje, jak podróżny w obec egipskiej piramidy, gdy stojąc u stóp jej, nie ogarnie nawet jej kształtów i rozmiarów. — Przeciwnie, rzecznikowi nie chodzi o prawdę, ale o wyzyskanie całego dziejowego materiału na poparcie pewnego założenia. Od rzecznika nikt nie wymaga i nie spodziewa się otrzymać całą prawdę, żądają tylko, aby faktów nie fałszował i nie przekręcał, naprzód wiadomo każdemu że to co on podaje jest niepełne i jednostronne. Przynajmniej dwa takie wizerunki tegoż samego przedmiotu z rozmaitych punktów widzenia zdjęte potrzebne są na to, aby przedmiot uwydatnił się pod szkłem stereoskopu, jako wypukły i najbardziej do rzeczywistości zbliżony. W obu powyżej wyszczególnionych przypadkach stanowisko piszącego staje się zależnem, w pierwszym bezwiednie, w skutek umysłowego lennego poddania się przedmiotowi pracy, wyłączającego stosunek doń krytyczny, w drugim świadomie i rozmyślnie, w skutek wytkniętego naprzód celu. W obu przypadkach rzecz, chociażby z logiką i talentem pisana, schodzi z wysokości, na

której stawić zwykliśmy prace historyczne, podejmowane z szczerą chęcią największego zbliżenia się do prawdy za pomocą krytyki i staje się pamfletem historycznym. Praca p. Lisickiego jest właśnie takim pamfletem, napisanym z talentem, werwą, namiętnie i żółciowo, w celu „zdarcia zasłony z grzechów własnego narodu“ (Przedmowa t. IV.) i zadania, „kłamu przyjętemu zwyczajowi tajenia wszystkich naszych błędów i zwalania odpowiedzialności niedoli na nieprzyjaciół“ (Dom. spr. 1.). Zamiar chwalebny, ale dowody sięgają po za metę, obraz społeczeństwa odmalowany taki, że budzi nawet nie politowanie, a tylko wstręt i pogardę. — Wedle p. Lisickiego, odrodzony Polak odziedziczył i przechował wszystkie narowy, pogardę prawa, niechęć do władzy i stawał dębem ile razy popuszczono mu cugle (IV, 27). Zwrot romantyczny zawążył ciężko na szali narodu (IV, 245). Zaraza spiskowa zatruła ducha narodu, rozgościwszy się (u nas) na długie lata, bo po jej stronie stanęli pasterze dusz, ojcowie rodzin, a ze wszystkich fatalizmów nas prześladowujących najsroźszym była ta starszyzna zaślepiona i pobłażająca, dbała o popularność i nieczynna (IV, 151, 183). „Ród niewolniczy“ rozprawiał o wolności (IV, 268), a przyłożył powolną rękę do każdego usiłowanego narodowego samobójstwa. Cesarz Mikołaj był właśnie takim monarchą, jakiego Polska najbardziej potrzebowała (IV, 205); nawet Nowosilców nie był z gruntu wrogiem Polaków, a prześladował ich tylko za to, że się przeciwko panu jego zrywali (IV, 169). Czoło emigracyi chciało służyć ojczyźnie, ale jej służba nosiła w sobie zaród śmierci (Dom. spr. 36). Do tej służby policzeni poeci, wywodzący treny na cześć Polski nad Tybrem, Lemanem i Neapolitańską zatoką (1, 92), nawiedzani w hallucynacyi widmem matki sześćkroć zabitej (t., 266). Ta zagraniczna służba pol-

ska na paryskim bruku tak potrzebna dla rzeczywistój, jak ją Pan Bóg stworzył, jak sparaliżowanemu nędzarzowi elegancki ekwipaż (Dom. spr. 40). Polskę rozebrano, bo sama się wewnątrznie rozpadła (13), ale i po rozbiore aż do powstania 1863 r. nie było, wedle p. Lisickiego, żadnego opamiętania się, nie naliczyć dziesięciu ludzi zacnych i mądrych: Lewel był to truciciel (16), Niemcewicz — istna plaga, wszyscy byli intryganci albo zaślepieni, jeden tylko margrabia zawsze i wszędzie miał rację, przetoż został moralnie umęczony i ukamienowany. Gdyby przy swoim niezaprzeczonem dyalektycznym talencie i wielkiej logice p. Lisicki posiadał chociażby odrobinę zmysłu artystycznego, pojąłby, że jego przedstawienie margrabięgo nie podwyższa tego ostatniego, ale go poniża, bo skoro idąc śladem najbardziej względem nas i stronniczo nieprzyjaznych dziejopisów niemieckich i rosyjskich, p. Lisicki scharakteryzował polskie społeczeństwo jako wszelkiego zdrowego zmysłu politycznego pozbawione, rozmarzone, narowiste i niesforne, a nie dające w ciągu długiego pasma lat po zmianie kilku pokoleń żadnego znaku ocucenia się i poprawy, kaźden obcy czytelnik, nawet wcale przeciwko narodowi polskiemu nie uprzedzony, wyciągnie prosty wniosek że „ród niewolniczy“ na to przeznaczon, aby zginąć, bo niema zgoła racyi bytu, a zatem że i mąż stanu, któren w odrodzenie się tego narodu wierzył, nad podźwignięciem jego myślał, dopięcia téj wielkiej rzeczy usiłował, był też tylko marzycielem, kręcącym bicz z piasku a cały żywot położył na rzecz niemożliwą i na nic nieprzydatną. Wielki człowiek, jak posąg, stać może tylko na podstawie narodu; wytrąćmy podstawę — posąg się wywróci. Z dwóch celów, które mógł sobie zakładać dziejopis, szanujący wielkiego męża stanu, jeden — przysporzenie czci umarłemu nie

może być w zupełności w ten sposób osiągnięty, lecz oprócz niego jest jeszcze drugi, bodaj ważniejszy, o którym, o ile się zdaje, p. Lisicki nie myślał, a mianowicie tryumf sprawy, która była zesłemu tak drogą, że za nią ważył sławę, imię i życie, rozpowszechnienie swoich przekonań i idei. W osobach najbliżej wielkiego umarłego stojących, zespolenie się z nim jest tak wielkie, gorycz osobistych uraz i wspomnień tak okropna, rozpacz, że się spełniła wielka niesprawiedliwość, tak dotkliwa, że przeważają nawet nad tragizmem katastrofy, która na naród spadła i za zapoznanego sownie się pomściła. Ta gorycz natchnęła byłemu członkowi Rady Stanu myśli o przyszłości narodu tak czarne, że prawie sięgają do odstępstwa (Polska i Rosya w 1872. Drezno, 1872). Ta gorycz każe p. Zygmuntowi Wielopolskiemu cisnąć w oczy patriocyuszom, którzy przeszkodzili Rzym polski odbudować, bo ich nie tyle obchodził Rzym, ile ich własne w tym Rzymie panowanie: „możecie być bez obawy, *non bis in idem* — epigonów (A. Wielopolskiego) nie będzie!“ (11). Wielką nieraz jest wadą w ludziach, przechowujących tradycje o bohaterze, że nie umieją pewnych rzeczy zapomnieć i do odmienionych okoliczności się zastósować. Dla nich margrabia pozostał dotąd, czem był w chwilach zażartej walki. Wspominając o nim, nie mogą się wstrzymać od ciśnięcia w oczy społeczeństwu ciężkiego wyrzutu, któren się zowie, rok 1863. Pamięć o Wielopolskim dla tego u wielu tak jest dotąd niepopularną, że wspomnienie o nim jawi się zawsze towarzyszone wyrzutami. Gdyby margrabia żył dotąd, inaczejby się niezawodnie w obec społeczności zachował, on, który w Myślach i Uwagach (XVIII) napisał te słowa: „winniśmy stósownie do zmiany okoliczności zachowanie się osobiste zmieniać, a nigdy osobistemi prawidłami zachowa-



nia się rzeczy stósownie do pory i okoliczności nie hamować. Chodzi bowiem o to, aby rzecz, której człowiek służy, a nie oddzielona od rzeczy jego osobistość, górę wzięła.“

### III.

**P**anu Lisickiemu zarzucaliśmy, że jest za mało artystą, p. Tarnowskiemu możemy zarzucić, że jest nim zanadto, że nie panuje nad swoją wyobraźnią, że w rzeczy bardzo ściślej, bo w krytycznej ocenie życiorysu i w wyrzeczonym z racyi téj pracy prawie sądowym wyroku o człowieku, narzucał tyle retorycznych figur, nagromadził tyle poetycznych wspomnień i podobieństw, że chcąc dociec myśli głównej i zastanowić się nad samą treścią, trzeba naprzód zedrzeć brabancką koronkę artystycznych obsłonek i usunąć ornamenta, o których możnaby często powiedzieć, że ni przypiął, ni przyłatał, naprzykład całą od rzeczy odbiegającą wycieczkę na *via scelerata*, albo jeszcze niefortunniejsze powołanie się na Koriolana. Sam p. Tarnowski wypowiedział niegdyś (Prz. polski, 1879, styczeń, 141), że trybuni u nas bywali, ale Koriolana zaprawdę nie było w polskiej historii, bo ci, co za odebraną kamienicę albo za nie otrzymany urząd robili rokosz, albo naprowadzali nieprzyjaciół, nie warci tego imienia. Na str. 71 p. Tarnowski sam powiada: „ten hardy patrycyusz mszczący urazy swój na rzeczypospolitój,” a na str. 140: „Europa w tym dramacie (Szek-

spira) w jednym Koriolanie poznaje wszystkich, jakich widziała ludzi mszczących się na ojczyźnie i (w trybunach) wszystkich tych, którzy przez zaburzenie i nieład do władzy dążyli, dochodzili jój i przy niej się utrzymywali.“ — I wedle historyi, i wedle Szekspira, gdybyśmy charakteryzowali Koriolana, wypadaloby mu dać nazwę wedle głównej a panującej w charakterze cechy: zdrajca w skutek dotkliwej urazy prywatnej. Duma, popędliwość, upór, zaciekłość — są to już tylko podrzędne rysy, ale i te bywają w każdej osobie odmienne. Nie pojmujemy jakie mógł p. Tarnowski dopatrzeć podobieństwo, nawet w tych podrzędnych rysach, między bohaterem szekspirowskiego dramatu i margrabią. Koriolan to człowiek „kaducznie dumny,“ dbający tylko o swoich braci patrycyuszów, nie mający serca tylko dla ludu, rad „przewietrzyć stęchły kram gminu“ (akt I. sc. 1.), przetrzepawszy go, a niemogący przemódz siebie, aż do skarbienia „smrodliwego oddechu“ tego ludu (akt II. sc. 1.). Margrabia był bardzo hardy, ale z patrycyuszami, ludem on nie pomiatał, był on może najmniej szlachcicem z całego tego patrycyatu, bo jak wiadomo, przeprowadził mocną ręką równouprawnienie pierwiastku najwstrętniejszego dla rodowitego szlachcica — żydów. — Koriolan jest to tylko tęga szabla i nic więcej, żaden polityk, człowiek któremu zdarza się co chwila „słowom tył podać, gdzie stale dotrzymał placu spadającym ciosom“ (akt II. sc. 2.), człowiek, któren powiada: „wolałbym być po swojemu sługą, niż *panować po służalczemu*“ (akt II. sc. 1.), więc będąc nawet przekonany, że trzeba się upokorzyć

(Niech mnie duch sprośnej niewolnicy natchnie,

Wojenne godło moje niechaj się zamieni

W cienką piszczalkę rzezańca lub niańki,

Co dzieci lula....)

Akt III. sc. 2.

nie może ani na chwilę nad sobą zapanować i daje się unieść po za wszelkie granice krewkiemu temperamentowi, czyniąc rzeczy wręcz przeciwne temu, co mu nakazywały natura, rozum i obowiązek (akt IV. sc. 4.), „najprzywiązańsi przyjaciele.... nierozdzielni“

Jako bliźnięta, nagle skutkiem sporu  
O rzecz niewartą szeląga, wpadają  
W najzapalczywszą ku sobie nieprzyjaźń;  
A z drugiej strony najnieubłagańsi  
Nieprzyjaciele.... dla bzdurstwa, o którym  
Wspomnieć nie warto, zmieniają się nagle  
W najzagorzalszych przyjaciół....  
Tak się ma właśnie ze mną. —

P. Tarnowski powiada: „Koriolan, hardością człowieka świadomego siebie i arystokraty, sprowadza *kłeskę Rzymowi i sobie, tryumf przeciwnikom*. Hardości takie, nie raczące się zniżyć do głępszych i przed niemi się *tłómaczyć*, bywały i w Polsce....“ gdyby nie one, możeby celów swoich dopięli starzy Czartoryscy (133). Historia, jak matka Koriolana Wolumnia, mogłaby „prawdę powiedzieć i trybunom i ludowi, bohaterowi i patrycyuszom, a wszystkim sprawiedliwość odmierzywszy, zostawić im naukę, że nie o wpływ i władzę trybunów chodzi, ani o patrycyuszów powagę lub kieszeń, ani o ludu wygodę, ani nawet o *bohaterów potężne pomysły*, tylko o Rzym.... Taką naukę mogłaby podać książka o Wielopolskim“ (213). Wszystko w tém rozumowaniu naciągane i fałszywe przez wtrącenie do obrazu kilku maleńkich dodatków, które istotę rzeczy zmieniają. Koriolan to tylko pan ręki dużej, ale bez żadnych zgoła oryginalnych pomysłów, który dziś na miazgę tłucze Wolsków, a nazajutrz do nich się ucieka:

Akt IV. sc. 5. .... stoję tu nie w innym celu

Jedno ażebym się skwitował z temi,

Co mię skrzywdzili.

Każden z przeciwników margrabiego rozumował zupełnie jak Koriolan: *wolę być po swojemu sługą, niż panować po służalczemu* (to jest wedle fantazyi, stawiając los kraju na kartę: wszystko albo nic). Potężne pomysły bohaterów, w rodzaju tych, o których mówi p. Tarnowski, mogą być takowemi tylko pod warunkiem, że w nich chodzi nie o władzę trybunów, nie o powagę i kieszeń patrycyuszów, ani o ludu wygodę, ale tylko o Rzym, jako całość rozważany i przytém tak terażniejszy jako i przyszedł. Więc o cóż właściwie chodzi autorowi i w czém ostatecznie upatruje on podobieństwo między margrabią a Koriolanem? Chyba w tém, że swoją hardością sprowadził klęskę Rzymu, tryumf przeciwnikom, bo nie raczył się zniżyć do głępszych i przed nimi się tłómaczyć. Sprawdźmy zasadność tych ostatnich zarzutów.

Bardzo pięknie i plastycznie projektuje p. Tarnowski dramat w rodzaju szekspirowskim w trzech osobach (Prz. p. 1879, listopad, 143): „na tle powikłań europejskich, wśród których majaczeje dla ludzi z żywą wyobraźnią i gorących światelko nadziei, naród, któren za prawem swem obstaje i z wekslem w ręku na Opatrzność boską domaga się egzekucyi (styczeń 1880. str. 141, w Prz. p.), nie dostrzegając, że stacza się do zguby po fatalnej pochyłości. Z drugiej strony człowiek wielkich rozmiarów, który widząc i sądząc rzeczy trzeźwo, wie, że *ani zasady nie zwyciężą, ani spełnią się nadzieje* i sam jeden, swoją tylko siłą usiłuje zahamować ten naród na téj pochyłości. Ztąd walka tego człowieka z tém społeczeństwem, w której ostatecznie zwycięża *trzeci* — wróg jednego i drugiego i tryumfuje nad pustynią, unosząc się jak *duch Pański nad wodami* (?)“ — Więc naród *staczał* się po pochyłości ku zgubie, więc zasady nie *mogły* zwyciężyć, ani spełnić się nadzieje, czego nie mógł nie widzieć człowiek trzeźwo

rozumujący. W tych warunkach trzeźwości bywa zwyczajnie wielu, ale z tych wielu znalazł się tylko jeden, którego się nie uląkł i sam o swojej mocy (*moi seul et c'est assez*, str. 191) usiłował staczający się naród zatrzymać na pochyłości. Zaiste, mądrzejby zrobił, gdyby nie prostą drogą, ale węzowemi skręty szedł do celu, gdyby działał dwuznaczniej i skryciej, gdyby głosem syreny pociągał innych, aby mu pomogli, gdyby był trochę więcej magnatem polskim stariej daty, wiedzącym, że *czapka, papka i solą, ludzie ludzi niewolą*. Gdyby użył tych środków, a ponieważ do użycia ich prawie zawsze potrzebne są odpowiednie uzdolnienia, więc gdyby posiadał odpowiednie środkom przymioty, zrobiłby może więcej, zgromadziłby około siebie ludzi kilkoro i przetrzymałby nieco dłużej spadający ciężar w chwiejnej równowadze. Wszakże chyba tylko zła wiara mogłaby mu zarzucić, że podejmując walkę nad siły sprowadził klęskę ojczyźnie, tryumf przeciwnikom. By wyciągnąć ten ostatni wniosek, trzeba by z niejakim prawdopodobieństwem przypuścić, że sprawa ruchu miałaby jakiegokolwiek szanse powodzenia, w razie, gdyby margrabia nie rzucił się pod koła toczącego się jej wozu. W tym tylko przypadku możnaby twierdzić, że swoją walką margrabia sprawił, iż zwycięża ktoś trzeci, unoszący się nad pustynią jak (zły) duch nad wodami i radujący się, że i margrabia i rewolucya wzajem się zneutralizowali i pożarli. Skoro jednak rewolucya nie mogła nie dobiec do fatalnej mety, zachodzi pytanie: w czem przyczynił się W. do rozradowania osoby w dramacie trzeci? — Usuńmy przez przypuszczenie margrabię z dziejów 1863 r. i rozważmy, po której stronie przyszyłoby się to *mniej* w naszym bilansie zapisać, na *ma* czy na *wimien*? Wypadek ostateczny zostanie ten sam, byłibyśmy tylko ubożsi o jednego męża stanu, o jednego człowieka z dwoma

głównymi warunkami wszelkiej akcji politycznej: rozumem i odwagą. W swoich wybornych Myślach i Uwagach, (XXXII) malując niepochlebnymi rysami społeczną sobie *historyczną porę roku*, W. tak się wyraża: „są czasy, w których żadna z wątpliwości socyalnych nie rozwiązuje się, wszystko jest w zawieszeniu, każdy z osobna boi się zabrać do ich rozstrzygnięcia i nastawać o to, aby się cały stan rzeczy gwałtownie nie wstrząsnął i nie przemienił. Żądaniem osób zdaje się być wtenczas wszystko trzymać w zawieszeniu, unikać starcia się i ostateczności. Wszyscy wtenczas oczekują czegoś, każdy odwłóczy działanie w widoku, że rzeczy niespodzianie bez jego rozwiążą się przyczynienia. W takich czasach zwykli występować na jaw *pólludzie*, równie w sobie nierozplątani, jak stan rzeczy który ich żywołem się staje, bez charakteru i bez przekonania, obfitością słów pokrywający swoje ubóstwo. Mniemają wszakże, że to oni bieg rzeczy na zasuwkę zamknęli.“ Po ogłoszeniu naszej upadłości w 1793 roku, gdyśmy się dźwigali z upadku, jedynym przekonywającym dowodem, że nie wszystko w nas zamarło, były pojawiające się wielkie talenta naukowe i artystyczne. Dowód to był jaki taki, wystarczający dla przejściowych epok, dla czasów przygotowawczych, ale już najwrażliwszy i najjenialniejszy z naszych poetów zauważył, że cudnie mogą brząkać na lutniach pieśniarze, a jednak pójdą w niewolę, skoro nie umieją obronić świętej arfy Wenedów, którą z rąk króla Dawida wyrwie nie lepszy, ale energiczniejszy nieprzyjaciel. Sam p. Tarnowski zaznaczył (Prz. p. listopad, 1879, str. 291: Zjazd krakowski z powodu jubileuszu Kraszewskiego), że literatura (a zatem i nauka i sztuka) nie jest najwyższym porządkiem rzeczy; że źle jest, gdy naród dziełom pióra oddaje cześć, należną samym tylko czynom szabli i berła, i gdy urządza dla literata nie wień-

czenie na Kapitolu, ale tryumfy na Forum. Gdy nastąpiła chwila wielkiej akcji dziejowej, gdyby rwący się do niej naród, posiadający tylko lirników, nie wystawił ani jednego męża stanu; gdyby obfitował w samych tylko nierozpłątanych w sobie *pólludzi* i nie miał ani jednego skrojonego „nie podług miary krawca...” lecz Michała Anioła, możnaby narodowi temu powiedzieć wieczne odpocznienie, albo przynajmniej odpocznienie na całe wieki. Wielopolski dał swoją osobą świadectwo, że nie wszystko w tym narodzie umarło (lui — et c'est assez), *He was a man*, jak powiada Hamlet (akt I. sc. 2), nie darmo W. w przypisach do Bibl. Ord. M., 1859, cytował Heinego:

Und die Kastraten klagten  
Ich sänge viel zu grob....

Dla zdegradowanego narodu nie dość, gdy jego synowie umieją nosić z godnością łaachmany, które niegdyś były purpurą, trzeba jeszcze dla uzasadnienia praw, jeśli nie do niepodległości, to do bytu, aby taki łaachmianarz, gdy mu wypadkiem spadnie do rąk berło albo buława, dowiódł na sobie tradycyjnie przez atawizm odziedziczonego uzdolnienia do tego, by rządzić albo hetmanić. Przy dochodzeniu praw do bytu taki okaz znaczy tyleż co przerwanie przedawnienia, a margrabia był znakomitym tego rodzaju okazem.

W obec téj olbrzymiej zasługi W. jakże już mało wazą usterki, a może nie usterki, lecz ujemne tylko przymioty, które stanowią odwrotną stronę innych przymiotów dodatnich, a mianowicie: że był człowiekiem z jednej sztuki odlanym, że nie umiał giąć się i dyplomatyzować, że był nietylko uosobieniem dumnej dewizy domu Myszkowskich, od którego pochodził po kądzieli: *frangas non flectas*, lecz lubił jeszcze szermować i drażnić, nie

wchodząc w to wcale, jakie trudne walki musiały z sobą staczać sumienia spółczesnych, wahając się między legalnością a rewolucją, że nie zniżał się aż do maluczkich i nie usiłował namawiać i przekonywać, a narzucał tylko wszystkim swoją dyktaturę. To już trudno, to już żądać za wiele, — chcieć aby istota była inną, aniżeli stworzyła ją natura, aby ptak, któren ma słabe nogi a skrzydła mocne, biegał nie latał, aby pręt żelazny giął się, jak laska gutaperkowa. Nikt nie wątpi, że margrabia chciał namiętnie i gorąco powodzenia swoim ideom, że dla urzeczywistnienia ich użyłby wszystkich środków, jakie tylko były w jego mocy. Ale margrabia nie mógł odstąpić ani w sposobie działania od swojej zasady, ani w środkach działania od swojej natury i od wyrobionego charakteru. Zacytujemy po raz ostatni Koriolana Szekspira. Ten ostatni przestałby niezawodnie być Koriolanem gdyby usłuchał rady Wolumnii (akt. III, sc. 2):

...pójdź do nich

Z czapką w rękę i unieś ją do góry,  
Pocałuj ziemię kolanami (w takich  
Bowiem okazyach gesta są wymową  
A oczy gminu wrażliwsze niż uszy);  
Kiwaj im głową aby pomyśleli  
Że twarde serce twe skruszało, zmiękło,  
Jako dojrzała morwowa jagoda.  
Powiedz im, żeś jest żołnierzem, że nie masz  
Tego łatwego, słodkiego obejścia,  
Które właściwie, jak to sam przyznajesz,  
Miećbyś powinien, a którego oni  
Właściwie mogą od ciebie wymagać,  
Skoro się starasz o ich względy.

Margrabia nie mógł katechizować tych niewiniątek, o sumieniach prostych, oczekujących cudu, którzy owczym

pędem biegli do powstania, a przez to tylko się wysunął i zdobył sytuacją, że stanął poprzek ruchu, by wstrzymać powstanie. Na przekonywanie nie była to właściwa pora, gdy trzeba było, objąwszy ster mocną ręką, prowadzić okręt między Scyllą rewolucyi i Charybdą, tak zwanego w ówczas „najazdu.“ Margrabia mniemał, i w tém grubo się omylił, że przez sam instynkt zachowawczy znajdują się karność i posłuch względem komendy. Żaden kapitan nic nie dokaże, gdy go załoga okrętowa nie uznaje, gdy od niego przed okazaniem pomocy zażąda kompromisu z sumieniami, bo w każdym życiu publiczném naprzód idzie warunek — karność, a potem dopiero może nastąpić skuteczne działanie. Bardzo być może iż, pomimo karności i najzupełniej zgodnych usiłowań kapitana i załogi, okrętyby się rozbił, bo przyczyny powstania były liczne i leżały głęboko. W każdym przypadku jednak nabyte doświadczenie, procentuje się już obecnie w podniesieniu się karności w społeczeństwie, w trzeźwiejszém pojmowaniu stanu rzeczy, wyrażającym się chociażby w formie przekonań, formułowanych w ten sposób przez p. Tarnowskiego: prawo do niepodległej ojczyzny mamy wprowadzić, lecz uszczuplone i zakwestyonowane, ale mamy obowiązek żyć i z upadku się dźwigać, nie sprzeniewierzając się rządowi, pod które popadliśmy, owszem, ucząc się u nich karności i rządności (115, stycz. 1880. Przegl. 1), jedném słowem powinniśmy się wyleczyć od widma restauracyi i pracować na przyszłość cząstkowo, pomaleńku, legalnie. Jeżeli nawet przypuścimy, że sprawa W. mogła się udać, gdyby go poparto, nie weźmiemy ztąd pochopu do potępiania hurtem ani owczego stada, ani załogi okrętowej, jak to uczynił p. Lisicki, ani będziemy stawiali pytanie, które zaprzęta p. Tarnowskiego: kto winniejszy, Wielopolski, społeczność

nasza, czy rząd rossyjski? Takie przeniesienie całej kwestyi na grunt kryminalny zdaje się nam nie właściwem i niestósownem. Nie odbieramy historii prawa do orzekania sądów o ludziach i odpowiedzialności ich za wypadki, owszem sądzimy, że jest to jedna z najważniejszych i najpiękniejszych atrybucyi historii, lecz nie sądzimy, aby ta atrybucya wyczerpywała całą funkcję historii, i aby mogła być wykonywaną sposobem przepisany dla sądów kryminalnych, to jest po przesłuchniu stron i rozważeniu szczupłych przytoczonych przez nich wiadomości, liczących li tylko do jedynéj kwestyi sądowéj o poczynaniu, z pominięciem badania wszystkich innych przyczyn wypadku, krom uzasadniających odpowiedzialność, to jest krom bezpośrednio zawisłych od świadoméj siebie woli działających osób. Historia ma przedewszystkiem na celu badanie wszystkich razem wziętych przyczyn, z których się wysnuwa dziejowe pasmo wypadków, a więc w téj liczbie i tych przyczyn, które zawierały się w pojęciach, uczuciach, nałogach, charakterach działających osób, lecz ponieważ te indywidualne moralne czynniki brane są w połączeniu ze wszystkimi innymi fizycznymi i społecznymi, ztąd wynika, że wypadek ich oceny historycznéj może być całkiem odmienny, aniżeli przed zwyczajnym jakim trybunałem, któremu chodzi li tylko o obrachowanie współdziałania pojedynczej woli w wypadku w grubych ogólnikowych tylko rysach przedstawianym. W historycznem badaniu ostatnią rzeczą bywa dochodzenie miary winy. Historia bada przedewszystkiem, dla czego i jak się stało, co się stało, i gdy wytłómaczy jak się wytknęło całe pasmo wypadków i jak się składały na kaźden wypadek tysiączne czynniki, rządzone koniecznością logiczną, fizyczną albo moralną, już cel jéj główny dopięty, tak, że kwestya odpowiedzialności osobistych może być

przez nią nawet niedotkniętą, badający może ją tylko natraścić, nie rozstrzygnąć i urwać, jak urywa pieśń swą poeta („... a czuły słuchacz w sercu swem dośpiewa“). Im większe światło spadnie na naturę i wzajemne na się oddziaływanie wszystkich czynników, im bardziej uwydatni się dla czego działały tak a nie inaczej, tém mniej się zastanawiać przyjdzie nad winami pojedynczych osób, tém mniej będzie zażaleń i jadem nienawiści zatrutych wspomnień, tém na większą ilość czynów i osób rozprostrze się większa amnestya historyi, która często tak jest potrzebną i pożyteczną dla dobra ogółu, a pod którą podchodzą i pojedyncze osoby i całe partye. Nie będzie to wcale obojętność historyczna, ale tylko wyrozumiałość — najwyższa zaleta poety, patrzącego na przeszłość w jasnowidzeniu poetycznem, albo dziejopisa przenikającego na wskroś dzieje. Taką jest ta tyle razy sławiona *przedmiotowość* szekspirowska, o której p. Tarnowski tak się wyraża: „Kto winniejszy? tego pytania Szekspir nie stawia wcale, dla tego że ono rozwiązania nie potrzebuje. Prawda jest i w arystokratkach, i w trybunach, i w ludzie i w każdej postaci, od bohatera aż do rzemieślnika i pachółka.“ (Przeł. polski, styczeń 1879 r., str. 139). Stworzywszy mocą sztuki podobieństwo żywej rzeczywistości, aż do złudzenia ją naśladowujące, autor znika, chowa się poza obrazem i nieraz nie wiadomo, komu on sprzyja z walczących. Nie mamy, zda się, potrzeby tłumaczyć, jak olbrzymi krok naprzód byłby zrobiony, gdyby rzecz o Wielopolskim mogła być traktowaną z tak podniosłego stanowiska, jednako dalekiego od bezwzględnych uwielbień i cierpkich narzekań. Łatwiej niezawodnie sądzić z takiego stanowiska dalsze, mniej nas obchodzące epoki, byle nie dzień dzisiejszy, byleśmy byli od przedmiotu pewnym odstępem czasu przegrodzeni i stali w inną

atmosferze, bylebyśmy już obejmowali wypadek, czy osobę, jako rzecz zamkniętą, spełnioną, skończoną. Chcąc politykować, można zaiste pisać tendencyjnie, a zatem stronnictwo i o wojnach perskich, albo o starożytnościach egipskich, lecz już posiadamy dość dobre monografie o Cavourze, dlaczegóżbyśmy nie mogli mieć takowe o 1863 r. i o Wielopolskim? O Bismarku mieć nie możemy, bo ten jeszcze ze sceny nie zeszedł. Warunki dla napisania rzeczy historycznej o W. istnieją i zebrano, dokumentów dość sporo, więc brak tylko pisarza, którenby się jął pracy *sine ira et studio*. Pan Tarnowski rzecz taką nie zamierzał pisać, on tylko wylał w lirycznej formie swoje uczucia o W., uwydatniając przytém uchybienia panegiryku, skreślonego przez p. Lisickiego. Nadmiar uczucia zawadza, a w krytyce p. Tarnowski z uczuć, jakie miał do żywego Wielopolskiego, jeszcze nie ostygł, pod pryzmat rozwagi margrabiego nie postawił, z innych prócz dzieła p. Lisickiego źródeł nie korzystał. Sądzymy, że ani p. Lisicki ani hr. Tarnowski nie zużytkowali wszystkiego co drukował margrabia, albo co o nim drukowano. Z tego względu pozwalamy sobie dorzucić *ad usum* przyszłych biografów kilka uwag do rysów przez nich pominiętych. Uwagi te możeby się przydały, bo rzucają niejakié światelko na wielką postać, która nie dochodzi wzrostem do Cavoura, ale nie lęka się porównania z Kościuszką, i tak się ma do tego ostatniego, jak blade światło świtu, znamionujące odrodzenie dnia, do jaskrawej czerwonej pręgi po słońcu, które zaszło.

#### IV.



długim był żywot, liczący  $74\frac{1}{2}$  lat wieku (od 13 marca 1803 do 30 grudnia 1877). Potrąćmy  $11\frac{1}{2}$  lat żałobnych, spędzonych w osamotnieniu i po za porzuconą na zawsze ojczyzną, — na właściwą akcyę polityczną, ku której W. z powołania dążył wytrwale przez całe życie, przypadają niespełna  $2\frac{1}{2}$  lata. Reszta, a mianowicie cała młodość i znacznie większa część dojrzałego wieku, zostały użyte albo na zajęcia mało z polityką połączone, albo na przygotowawcze rozmyślenia i plany. W ciągu tych pierwszych  $57\frac{1}{2}$  lat tak się złożyły dla W. stosunki, że do pewnego tylko stopnia z dobrej woli i ochoty, a przeważnie wbrew woli i z konieczności musiał iść przeciw prądowi czasu, narażać się opinii publicznej i zarabiać na niepopularność, jedną z największych, jakie kto w Polsce w tym wieku posiadał. Bojowniczość, tkwiąca już w temperamentie i wyrobiona aż do przyzwyczajenia i prawie nałogu, w skutek częstego jój stosowania, stanowiła jeden wybitny rys charakteru; drugą niemniej wybitną charakterystyczną cechą było nadzwyczajnie bystre przewidywanie dalekich

wypadków o wiele przechodzące miarę zwyczajnej ludzkiej przeczności. Są ludzie przewidujący, ambitni i cierpliwi, którzy zakładają dalekie cele, ale rzadko który z nich posiada na wiele lat przed czynem przygotowany program, a co się tyczy sposobu postępowania, ten się stosuje zwykle do okoliczności i zmienia wedle tego, jakimi drogami zbliża się do celów piastujący dalekie zamiary, czy dając się zlekka unosić fali popularności, czy nawijając się rządowi, jako pożyteczne narzędzie. Zmienność programu i planu działania przykładała się nieraz do powodzeń, skarbiła działającemu sławę. Nieprędko, nieraz po zejściu ze sceny takiego polityka, dopatrywano że miano do czynienia tylko z wielką zręcznością, przy małej dozie prawdziwego talentu i przy zupełnym braku jeniałości. — Wielopolski *aurae populari* nie schlebiał, faworów jój szukał, do rządu się nie zbliżał, z powodu całkowitego braku stosownej okazji, miał tylko przygotowany na długi czas przed działaniem program do najdrobniejszych szczegółów wykończony w nadziei, że siła okoliczności zmusi rząd i kraj do przyjęcia tego programu. Co więcej, oprócz programu posiadał on wyrobiony ideał sposobu postępowania, całą teorię politycznego czynu tak dokładną, że napisawszy ją w 1835 roku (w Kwartalniku Naukowym Helcla, przedrukowane w Kronice Rodzinnój 1878, str. 296 — pod tytułem Myśli i Uwagi; — był zapowiedziany dalszy ciąg, lecz się nie ukazał), Wielopolski wszystko co zapowiedział w tych 46 ułamkach czy założeniach, spełnił w ćwierć wieku później, ani na jotę prawie od tych prawideł nie zboczywszy. Te 46 założeń są czemś więcej niż kluczem do polityki margrabiego, są one jeszcze streszczeniem i wykładem na kilku kartach całej jego umysłowości, całego zapatrywania się na świat, dzieje i chwilę obecną. Wielopolski, równie jako i wszyscy wielcy ludzie na-

szego odrodzenia się w XIX. wieku, był religijnym człowiekiem, mocno wierzącym we wspomnianą przezeń często Opatrzność. — Nie należy, wedle jego zdania, wszystkie napotymane w życiu sprzeczności godzić, lecz pogodzenie ich zostawić Temu, kto wszystkiém władnie, wszystko rozgranicza, jednoczy i miarkuje. Wyjałowiałoby życie w skutek ciągłego niby z urzędu łączenia rzeczy na pozór sprzecznych, obróceniem życia w arytmetyczne zadanie, w którem wszystkie istoty mają znaczenie liczb do jednej sumy należących (XLVI). W oryginalny sposób uwydatnione znaczenie modlitwy: „czynność powinna być nie jak gwałtowny zalew, który wnet osiąka na słońcu, ale jak głęboka rzeka, która mimo ruchów fali nigdy dna nie traci i nie tylko błyszczy, ale w głębi skryta całą wagą płynie. Ten już wzgląd okazuje ważne znaczenie modlitwy w życiu; nie jest ona gnuśnością i stratą czasu, lecz owszem człowiekowi tę wagę na dno życia nadaje“ (XXIV). Wielopolskiemu mocno chodzi o zachowanie podkładu religijnego w instytucjach i prawodawstwie (XVI). Odstrychanie się religii i społeczeństwa, uważa on jako jednako szkodliwym w każdym z dwóch możebnych kierunków, które zdolne jest ono przybrać: albo chcąc religii bez społeczeństwa, to jest wytępiając dla niej plemię ludzi (inkwizycya hiszpańska), albo chcąc społeczeństwa bez religii (dumnie głoszony dziś ateizm prawa). W. religiant, ale nie katolik, w zwykłym i ciasnym rozumieniu dziś tego słowa, to jest nie człowiek prowadzony na kościelnym pasku w rzeczach religii. W. należał do téj warstwy intelligencji polskiej z drugiej ćwierci XIX. w., która dążyła do odrodzenia religijnego uczucia, zwiertzałego u sfrancuziałych Polaków czteroletniego sejmu i napoleonowskiego cesarstwa, a odrodzenia tego spodziewała się dokonać przez filozofię, przez transcendentalny idealizm.

„Podstawa chrześcijańska, wedle W. panuje w społeczności dzisiejszej, lecz coraz głębiej organizując się, coraz nowe z jój istoty wypływające umysłowe i towarzyskie utwory wyprowadza, a te gdy po kolei nastają, nim oporną względem nich rzeczywistość przemogą, przez cierpliwość opierają się o nią i rozpinają się nad nią. Do takich postaci należy *dzisiejsza filozofia* (III.). Nie mieliśmy w ręku będącej rzadkością bibliograficzną rozprawy: *De idea aeternitatis, scripsit Aleksander comes Wielopolski. Goethingae, 1824*, nie możemy więc sprawdzić o ile w młodości ulegał W. wpływom wielkiego żydowina Spinozy. Chętnie dopuszczamy, zgadzając się z Lisickim (I. 7), że W. zaczerpnął u Hegla pojęcia o państwie i stosunku jego do społeczeństwa, bo w *Myślach i Uwagach* natykamy coś jeszcze nad to większego, a mianowicie punkt wyjścia heglowski, jego metodę, jego zapatrywanie się na człowieka, jako na myślący byt, na chodzącą ideę i niebardzo dla nas dziś dostępne pojmowanie prawdy jako odrębnej, realnej istoty, daleko realniejszej aniżeli natura, aniżeli świat mniemanych idei objawów (niebardzo dostępne powtarzam, bośmy nawykli uważać prawdę jako przez pryzmat oderwania zdobyty odbłysek realnych stosunków). „Jedność pojęcia i bytu, powiada W., którą wykłada filozofia spekulacyjna, w doświadczeniu można poznać na wewnętrznem kształceniu się człowieka. Człowiek co do istoty swój jest *bytem osnowanym w myśli i myślą w byt się wradzającą*“ (XVIII.). Prawda sama, wedle W. (I.), szuka człowieka. „Z istoty jój zależy jój na tem, aby była poznana. Jako Wirgili Dantowi, tak w najgorętszych życia utarczkach prawda objawia się człowiekowi w tym lub owym wypadku, bądź pomyślnym, bądź przeciwnym, bądź iż występuje ozłocona zorzą nadziei lub żywym promieniem radości, bądź iż

iz się wydobywa z czarnej chmury zgryzot, smutku, albo nawet rozpaczy. Prawda jest *istotą w sobie treściwą i niepodległą* i od wolnego człeka upodobania *niezależną*. Każde jej poznanie jest to właściwie tylko uznaniem.... Wykład prawdy jest własnym wykładaniem się prawdy (XI). Ogromna massa oporu i życia zalega świat naprzeciwko drobnemu, zaledwo co do swój rozciągłości widomemu *wiecznej* prawdy zarodkowi (III.). Lecz w małą garstkę wyznawców prawda sama nadzieję nieocenionej przyszłości wlewa i ci w oparciu się o odwróconą jeszcze rzeczywistość byli *długoduszni (longanimi)*. Przejęcie się najwyższemi zasadami, nadaje łatwość życia i przez największych niebezpieczeństw otchłanie i trudności swobodnie przeprowadza. Jest to wyjęcie z więzów materii podobne do chodzenia lunatyków po miejscach niebezpiecznych“ (XIII). Metafizyka wielkie miała znaczenie w swoim czasie, bo uczyła systematycznie myśleć i strzegła od powodowania się błędnymi ognikami wyobraźni. Metafizyka ochroniła smętną duszę Krasińskiego od popadnięcia w sidła mistycyzmu, w które zaplątali się i zwichnęli sobie skrzydła Mickiewicz i Słowacki. — Oprócz Hegla, widać w W. ścisłą znajomość wielkich poetów: Goethego, Szyllera, Danta, Mickiewicza (w XLVI. cytowane hasło romantyzmu polskiego: „mię serce i patrzaj w serce“), a nadewszystko Szekspira, i w Szekspirze umianego prawie na pamięć Hamleta. (W przypisach do Bibl. Ord. Mysz. 1859: „gdy mię doszedł list twój, przeczytałem, jak to zwykle czynię, Hamleta“....) Obok arcydzieł poezyi zaprzętała umysł historia. W. naznacza dwa rodzaje poglądów na dzieje: „Czém inném jest historia dla tego, który w niej jedno tylko złote pasmo, bez przerwy przez tło własnego życia aż do obecnej chwili snujące się upatruje, a czém inném dla tego, w którego oczach jest ona widowiskiem wzglę-

dem niego zewnętrzném i obcém w rodzaju hecy lub komedy małpij." Ztąd bierze autor pochop do zachęcania zapatrywania się na dzieje przez porównanie swoich położzeń z takimiż położeniami ludzi w najodleglejszych czasach, podobieństwami do naszego zbliżających się, lub różnicami odchodzących od niego" (XXV.). Trudno znaleźć trzeźwiejszą i dosadniejszą charakterystykę mglistej i smutnej epoki zamętu nie zaś organicznego rozwoju, w której dojrzał W. nad te jego słowa: „wedle różnicy *historycznych por roku* wypadki czasu każdego w inny takt się poruszają. Gdzie ogół, gdzie zasady społeczeństwa na dnie niejako towarzystwa spoczywają spokojnie, tam dla działania indywidualów szersze jest pole i wydatniej one występując, stanowią niejako wypukłość na tej spokojnej płaszczyźnie towarzystwa. Są znowu czasy takiego zaplątania się stosunków, gdy nic się nie rozwiązuje, a wszystko jest w zawieszeniu. W takich czasach, a do nich zalicza W. epokę jemu społeczną, trudno żądać szczęścia na wagę, na jaką w innych spokojniejszych czasach mieć ją można. Dość gdy ma się początek jakowyś, który rozszerzać trzeba stosowném użyciem, jak blaszkę złota, która biciem nieskończenie rozciągnąć się daje" (XXXVI.). „Czas terazniejszy przenika głębie społeczeństwa ogólnemi poruszeniami, zaciera istniejące dawne zabytki cichego w stosunkach korporacyjnych, familijnych i innych miejscowych zamkniętego życia, a nie daje nowym ustalić się i rozkrzewić. Społeczeństwo jest jak płyn potrzebujący spoczynku, aby zawarte w nim cząstki utworów skryzalizować się mogły. Jest to skutek reakcy przeciwko przeszłemu wiekowi, gdy był ogół zaniedbany, a górowały przeważnie szczegółowe stosunki, więc gdy obudziły się wymagania ogółu, wywróciły co z ich uszczerbkiem było wybujało. Powrót do spokoj-

niejszych stosunków jest znowu potrzebą, będą one mogły w nowej postaci odrodzić się i rozwinąć, wtenczas dopiero powikłania ogólne się rozplączą i sfera ogółu uporządkowaną zostanie (XXIX). Bieg dziś wypadków i przekształcanie się stosunków idą tak szybko, że najświeższy ich wykład za chwilę się przedawnia, ztąd wynika, że książki i nauka są teraz o wielki przeciąg czasu wstecz po rozwinięciu się rzeczy, które tylko z pożycia z ludźmi poznanem być może“ (XIX.).

Z przytoczonych ustępów wygląda myślący człowiek nawykły do snowania najoderwańszych pojęć. Myliłby się jednak, ktoby wnosił, że mamy przed sobą filozofa, dla którego wystarcza patrzeć, widziane rozważać i streszczać je a formułować. Ten filozof, władający rzadkiej mocy piórem i artystyczną zdolnością obrazowania najoderwańszych pojęć, był przeważnie człowiekiem czynu, którego tyleż obchodziła sama idea, ile i praktyczne jej zastosowanie. W XV. aforyzmie spotykamy ciekawe spostrzeżenie o tém, co może sprawić najpiękniejsza idea, skoro będzie źle użyta (zdaje się, że staje nam przed oczy przepowiednia porodzenia się powstania 1863 r. z matki poezyi romantycznej): „jak w naturze wszędzie spotykamy *materyę*, tak w składzie rzeczy ludzkich wszędzie napotykamy *motłoch*, a każdy pierwiastek duchowy na każdego sposobem jemu właściwym działa. Nieraz czyste promienie światła zapaliły prochownie niskich namiętności.“ — W potoczném życiu nieraz wielkością nazywamy co jest zbrodniczą i niedołączną małością, Nieraz rażącym ogromem omamieni padamy na kolana przed kolosalnym sfinseksem, jak przed utworem dłuta Praksitela (VII.). Ztąd zwrot czyniąc do pojęcia o wielkości człowieka, autor wnioskuje, że „wygórowanie jednego duszy przymiotu doskonałością nie jest, a właściwie *mocą duszy* jest takie

trzymanie przymiotów w jedności i zgodzie, ażeby w niczém za przepisany im zakres nie wychodziły.“ Innemi słowy: moc duszy polega na silnym rządzie przymiotów, to jest na panowaniu *woli*. Wola potrzebna nawet do myślenia. „Strona czynnego działania, powiada W., jest w życiu koniecznie potrzebną, nawet na stronie myślenia. Przed działaniem myśli są jakby siły przed stworzeniem świata, niepodległe, po za sobą bujające. Działanie je przymusza do wejścia w jeden utwór i wspólny wypadek (XXIII). Z dwoistej strony tenże przedmiot rozważając, przyznać należy, że działanie obejść się nie może bez tego co nazywamy zwykle *teoryą* i czemu W. wielkie daje znaczenie. „Dobroć życia, wedle W., zależy od ciągłego przenikania się uwagi na to, czego się doznaje (refleksya) i *działania wedle jasnych myśli* (teorya) (XXIV).“ — Wielopolski wie doskonale, że mu dane jest to szczęśliwe przeniknienie się i zrównoważenie dwóch pierwiastków i kreśli wyraźnie wizerunek własnej swój organizacyi umysłowej, gdy, powiada (V): „są tacy, których powołanie wewnętrzne polega na ścisłym zjednoczeniu żywiołu *teoretycznego*, do najoderwańszej spekulacyi posuniętego i *praktycznego* w najgłębszém zapuszczeniu się w rzeczywistość. Tacy w każdej sferze praktycznej zajęciem się prawdziwie czerstwem przebywają dopiero, gdy teoretycznej jego podstawy w pojęciu jasnym się dobiorą, które to wszakże światło często dopiero w ciągu praktyki samėj po omacku rozpoczętej zabłyśnie. Czyj umysł takim piętmem jest naznaczony, tego życie *mozolne i twarde*, lecz o tyle bardziej *mocne i pewne*. Dla takiego człowieka, głęboko sięgającego, nie może być pełnego niczém nie zamąconego szczęścia.“ „Najpiękniejsze chwile, powiada W. (XLII.), mają cień na sobie, tak jak dni najpogodniejsze mają na sobie coś tajemnie ponurego i ukryty zaród burzy, która

często przeraża nagłym wybuchem.“ Lecz z drugiej strony żadne klęski i niepowodzenia nie są w stanie takiego człowieka wykołebać. Widok zniszczeń i gruzów, powiada W. (XXVII), nie do opuszczenia, lecz do czynności prowadzić powinien; dość jest uznać się podkopanym, gdy i nas bieg rzeczy wywróci, nie uprzedzać zaś swego upadku upadkiem odwagi i pracy. — Gdzież szukać szczęścia? Na to pytanie otrzymujemy odpowiedź napiętnowaną najpiękniejszym stoicyzmem (V): „nikt spokojności nie dostąpi inaczej, jak poddając się powołaniu swemu i oddając życie na rozwinięcie pierwiastków, którymi bez przyczynienia się i wyboru swego na utrapienie zarazem i szczęście nacechowany został. — Na *utrapienie*: im większa bowiem jest sprzeczność pierwiastków, w duszy czyjś sprzężonych i do pojednania jej zadanych, tem większa jest boleść i smutek, póki się nie spełnią. Na *szczęście* zaś, ponieważ im większa sprzeczność pogodzona, tém bardziej i nieskończenie jest błogi stan powstałej ztąd jedności.“

W ułamkach VI. i VII. znajdujemy bardzo ciekawą dyssekcję przez W. właściwości organizacyi jego umysłowej. Uważa on za dolegliwość życia, że doznawane wrażenia, uczucie i stany umysłu i serca zmieniają się wzajemnie, zacierając się i dziwne tworząc mieszaniny, a chciałoby się ustalić i uwiecznić w sobie to wszystko, co kiedykolwiek smutkiem lub radością nas przejmowało, gnębiło lub podnosiło. Z tej chęci uwiecznienia przypominanych stanów duszy powstały wszystkie arcydzieła poezyi: poeta uwiecznił prawdę uczuć, skryształizowawszy je w pięknej nieśmiertelnej formie. W. poetą nie jest, uznaje on, że człowiek swojego celu nie osiągnie, o ile na *stanowisku uczuć* pozostanie, ale nie jest on także człowiekiem zimnym i bez serca. „Wyzuć się ze wszelkich uczuć i zimno w siebie się cofnąć także nie prowadzi do celu, bo

pozbycie się wszelkiej treści i uczynienie się martwą abstrakcją nie daje pokoju, owszém największy wewnętrzny ucisk sprowadza. Jedynym środkiem wyjścia z ostateczności jest *rozważa*, która nie trawi wrażeń zewnętrznych, lecz je wytrawia, każdy stan naszego umysłu zrozumieć się stara i za objawienie w nas ducha Opatrzności uważa. Zbliża ona te stany umysłowe jedne do drugich, w jedną je całość łączy i w téj całości porusza się i żyje. Uczucia takim rozpamiętywaniem roztworzone tracą na bezpośredniej żywości i z tego względu taki stan umysłu jest zubożeniem, lecz ten ubytek wynagradza się przybytkiem prawdy, trwałości i jasności, a uczucie, jakie ten stan umysłu za sobą sprowadza, z *żadnym inném nie może iść w porównanie.* — Ten mąż czujący mocno, ale panujący nad sercem przez rozwagę, wpatrzony jest wciąż w punkt jeden, jakby zostać człkiem czynu. Co moment rozwija się myśl jedna i taż sama w różnych formach powtarzana o spełnieniu swego powołania, o rozwinięciu pierwiastków, które w człowieku bez wyboru jego na utrapienie jego i szczęście są złożone (V.), o rozwijaniu się początków, które z położenia rzeczy dla każdego w sferze jego się zawiązały. Zadaniem ludzkości jest, wedle W. (XXXVII.), aby każdy powołanie swe rozwinął i do zupełności doprowadził, nie zaś aby każdy dostąpił najwyższego szczytu i w oderwaném od niego dążeniu opuszczał stały grunt rzeczywistego położenia.“ To realistyczne macanie pod sobą i trzymanie się gruntu, które dla nas współczesnych czyni margrabiego tak zrozumiałym i sympatycznym, było wyjątkowe wśród jego epoki, wśród romantycznego porywania się z motyką na słońce, wśród mierzenia sił na zamiary i pasowanie się z fatalizmem okoliczności. — W. nie przypuszczał wcale wielkich zapoznanych ludzi, którzy nie zasłynęli tylko dla

tęgo, że im pola do działania zabrakło. Nigdy go nie nęcił do naśladowania „huczny lot olbrzymich ptaków“ ani „pióro z ognia dumnych szyszaków“ (Beniowski IV.), nigdy i w niczém ten zachowawca i arystokrata nie przypominał hrabiego Henryka z Nieboskiej Komedy, owszem brał on za godło: „niezmiennie z właściwym taktem i miarą trzymać się w sferze sobie właściwej, bo po za tą granicą nic się nie zdarzy (IV.), działać działaniem jasnym, zwiększonym, czerstwem, treściwym (XLV.), a to działanie polega w tem, aby „nie krzyżować operacyj (chwili dzisiejszej), lecz oddawać swe siły umysłowe całkiem obecnym okolicznościom.“ W stosunku do téj zasnuwającej się rzeczywistości wydaje się nam W. heglista, ciągle mającym na myśli słowa mistrza: *was wirklich das vernünftig*. Ztąd konieczność rozważności w postępkach, aby mimo wiedzy nie zrywać i nie trutować tła, które się snuje, albo w nie nóg swoich nie wplątać (XXV.). O zakres działania wcale nie chodzi W., bo i w najciaśniejszem można działać z godnością i pożytecznie. Wielkiej zaiste ręki polityk skreślił te rozumne i złote wyrazy (XX.): błędem jest wyobrażenie, które w dzisiejszem wieku panuje, jakoby polityczna sfera w towarzystwie była wszystkim, a reszta stosunków lichym jej tylko za podłogę służącym materiałem, któren lekceważyć i zaniedbywać się może. Owszem, każdy stósunek towarzyski, jako to: familijny, miejscowy jest jednym z momentów, z żywiołów życia towarzyskiego i ma nieskończoną wagę i wartość.“ — „Nic tak nie gnębi i nie czyni duszę przystępną złemu, jak próżnia i brak oddania się zatrudnieniom stanu. Jest wtedy dusza jakby skarb zakopany, około którego zły duch się krząta. Lepsze jest powołanie gorzkie, ciężkie, które osobistość może nad miarę przyciera, niż próżnia w życiu, która osobistości nad miarę rozrastać się daje (XLIV.).“ Chociaż, jak wi-

dzimy, W. nie gardził najdrobniejszym działaniem w najciaśniejszym zakresie, był on jednak świadom, że może podołać największemu. Warunków wielkiego działania nikt nie tworzy, marzyć o czemś podobnem mogą tylko najniepraktyczniejsi z ludzi: spiskowcy. Mądry człek powinien posiadać dwa przymioty: „nieskwapliwość i cierpliwość“ (I.), powinien doczekać się, oddawszy się służbie pewnego pierwiastku, aż dojrzeją wypadki, aż nastąpi pewne przewidywanie i oczekiwane przesilenie się w nieustannym obrocie dziejów — jedyne, które go może na szczyt chwały zaprowadzić (XXXI.) i zrobić człowiekiem historycznym. By być do takiej roli gotowym nie zdadzą się drobiazgowy pedantyzm, systematyczne zapełnienie dnia każdego pewnemi oznaczonemi zatrudnieniami. Nieskończenie potrzebniejszem jest przenikanie (myślą) tego, co każdy dzień niesie, obracanie wszystkiego, co na nas przyjdzie w pokarm umysłowy. Życie powinno być szkołą, czerpać zeń trzeba nietylko te nauki, które gotowe na powierzchni leżą, ale i te głębiej ukryte, najpożywniejsze prawdy, które często marnie bywają opuszczane (XXIX.). Plan ogólny czynności na to tylko się przyda, aby przez przybliżenie, kroki swe doń zbliżać i ku niemu prostować, nigdy zaś tak go uważać, jakoby Opatrzność miała być przezeń ujętą w okowy i musiała krok za krokiem postępować wedle ułożonej przez nas marszruty (XXXIX.). Załatwienie każde odbywać należy, gdy się z całości położenia naszego jako zadanie w myśli urodzi (XXVI.). Działać trzeba szybko, nie zwłóczyć. Gdy człek opuści chwilę, w której dopomaga swem działaniem wydobyć się płodu, myśl opuszczonego działania zawadza mu w innych zatrudnieniach, tak iż się w ówczas nie jest ani w tem co się powinno było odbyć, a *czego mara teraz powraca*, ani w tem co się ma przed sobą. Przez nabyty

nałóg nie krzyżowania i nie mieszania działań odroczeniem, przez postawienie się na tym stopniu, aby zjawienie się każdej nowej potrzebie działania, było zarazem hasłem niezwłocznego rzeczy załatwienia, nabywa się pewnej *ostrości* i *czujności* politycznej, która w każdym danym przypadku stanowczy punkt wynaleść i najkrótszy sposób dostania się do celu obrać umie“ (XXVI.).

Kończymy przytoczenia, złożył się z nich psychologiczny wizerunek samego autora, W. przez siebie samego portretowany, jeden z najlepszych tego rodzaju portretów, co zaś dziwniejsza — wizerunek nie przez pryzmę wspomnień własnych w spojrzeniu na swoją przeszłość skreślony (jak naprzykład w *Warheit und Dichtung* Göthe), ale w odległym przewidzeniu, jak się działać będzie kiedyś, gdy chwila działania bardzo daleka nastąpi. Czyn, co rzecz dziwna, dorównał prawie idealnemu portretowi. Margrabia stworzył największe w świecie ludzkim arcydzieło: nieugięty, spójny we wszystkich częściach, prawdziwie żelazny charakter. Jeden rys tylko możnaby podać w wątpliwość: czy dopisała Wielopolskiemu ta ostrość i czujność praktyczna, na posługach u wszechstronnie wykształconego filozoficznego umysłu, którą on stawiał na szczycie swojego ideału? — Gdyby nawet i tak było, gdybyśmy przyznali wszystko co mu zarzucają: brak taktu w postępowaniu, nie zawsze trafny wybór ludzi, niewłaściwe załatwienie się ze stosunkami, z któremiby lepiej sobie poradziła mierna zręczność, dużo z tego wszystkiego trzeba odrachować i położyć na karb okoliczności, na karb zanadto długiego czekania na chwilę działania historyczną. Margrabia znalazł się w położeniu człowieka, który uczył się jak ma w morzu pływać, na miłym stawie, i którego rzucił raptem wśród największej burzy na rozhukane bałwany. Mimo całą wagę, jaką

margrabia przywiązywał do ostrości praktycznej, może nawet w skutek braku właściwego pola dla wyrobienia tej zdolności, przeważał w nim pierwiastek teoretyczny nad praktycznym. W. widział dokładnie rzeczy odległe, jak gdyby były bliskie i w skutek tego braku perspektywy mogli mu błędy działania wytykać krótkowidze, którzy pod żadnym względem do niego nie dorosli. Może gdyby miał wzrok krótszy i zdolen był obrachować przerażającą masę oporu, świat zalegającą, naprzeciwko maluczkemu zarodowi, uważanemu przezeń za wieszczą prawdę, byłby się cofnął i dla nierówności sił na wielki bój się nie odważył. — Lecz Wielopolski był tak zaślepiony, czy ograniczony, jak wszyscy wielcy ludzie czynu, którzy ztąd tylko biorą pochop do działania, że wierzą w natychmiastową zastósowalność i tryumf swoich pomysłów. Zaślepienie zawiodło, massa oporu zwyciężyła, człowiek złamany upadł, ale zostały się po nim: pobudzający przykład twardego charakteru i trzeźwe idee. Zachodzi pytanie: jak się stało, że człowiek tak praktyczny, tak wyłącznie skierowany ku temu, jakby ludzi i stosunki na korzyść swych pomysłów obracać i wyzyskiwać, starał się, jak gdyby umyślnie, drażnić publiczność i stawać się niepopularnym, a ta niepopularność musiała zawadzać w łatwej do przewidzenia chwili politycznego działania, do której się gotował przez całe życie? Rozważając to pytanie przekonamy się, że i niepopularność Wielopolskiego była skutkiem okoliczności, prawie od woli jego niezależnych, że przyszła nie z jego prawie winy, a z konieczności jego położenia i stosunków.

---

## V.

**N**

a pniu naszego możnowładztwa wyrosło jeszcze za dawniej Rzeczypospolitej 5 ordynacyj, z których jedną — Ostrogską, przy uczestnictwie ostatniego ordynata rozdrapano (tranzakcja Kolbuszowska, 1753). a i drugiej Myszowskiéj tenże sam los zagrażał. Trzeci z piastujących godność ordynata Wielopolskich, Franciszek, mocno zrujnował i odłużył ordynacki majątek, a syn jego, Jan Nepomucen, nie mający męzkiego potomstwa, jedno córkę (Krystyna Bontani), więc wiedzący, że po jego śmierci ordynacja przejdzie na stryjecznego jego brata Józefa Stanisława, ojca Aleksandra, nosił się z myślą, jeszcze za życia swego ojca — ordynata Franciszka, i za wiedzą tego ostatniego, z tém, jakby ordynacją obalić, krewnych od niej oddalić, poczemby, przywłaszczywszy ją, rozproszył. Nazywało się to, wedle frazeologii ówczesnej, „czynić z siebie ofiarę w odrodzonej w *równości* przez nową konstytucyę ojczyźnie; nie chcieć nic takiego posiadać, coby mogło podejrzenie nawet rodzić o rzeczywistym sposobie myślenia posiadacza.“ Musiały te słowa mieć pewną obiegową wartość, gdy w liście z dnia 17 maja 1792, Ignacy

Potocki obiecuje J. N. Wielopolskiemu „zamyśl jego popierać i starać się, aby czyn (ten) piękny z zaszczytem do potomności był przesłany.“ — Wszakże J. N. Wielopolski zdołał osiągnąć cel swój nieprędko, nawet nie za rządów austriackich, a za Księstwa Warszawskiego. W 1812 r. udało mu się, przy pomocy skoligaconego z nim ministra sprawiedliwości, Feliksa Łubieńskiego, alienować w celu wyniesienia za granicę większą część dóbr ordynacyi na imię hrabiego Bielińskiego, teścia swego, oraz na wierzycieli i podstawionych nabywców. — Próżno protestowała i zanosila skargi pokrzywdzona familia, którą w ten sposób oddalono od sukcesyi. Wszakże spór familii przeciwko rozproszeniu ordynacyi odniósł ten cząstkowy skutek, że transakcją z dnia 7. kwietnia 1813 roku zawartą pomiędzy ordynatem J. N. W. a braćmi jego Józefem Stanisławem i Andrzejem, z 12 kluczy, które składały ordynację, ocalone zostały tylko 3, a mianowicie Chrobrza, Książ Wielki i Kozubów. — Zrzekając się tytułu margrabiego, ordynat przelał za życia te trzy klucze wraz z tytułem na Józefa Stanisława, a ten ostatni wraz z bratem Andrzejem zrzekli się, imieniem swoim i synów swoich, wszelkich pretensyj do reszty dóbr ordynackich, to jest do 9 kluczków, pomiędzy którymi było i fundum ordynacyi — Pińczów. Z tą transakcją z 1813 r. nie pogodziła się nigdy matka Aleksandra, Eleonora z Dębińskich (siostra generała Henryka) Wielopolska, a gdy mąż jej Józef Stanisław W. umarł w 1815 r., postanowiła, najstarszego z pięciorga dzieci, Aleksandra — ordynata, wykształcić specjalnie na prawnika, aby mógł, do lat doszedłszy, awulsa odzyskać, alienowane 9 kluczków wyprocesować i blask nowy nadać margrabstwu, które w uszczuplonym składzie nie odpowiadało już ani użytkowi kraju, ani okazałości imienia. Nie z wolnego wyboru, lecz w tym bardzo

ciasnym i arcypraktycznym celu kształcił się W. w Warszawie, a potem, po krótkim pobycie w Paryżu — w Getyndze na cywilistę, studyował kodeks Napoleona, przejął się duchem tego prawodawstwa, posiadał właściwą kodeksowi metodę, ściśle dedukcyjnego rozumowania, to jest przeszedł jedną z najlepszych szkół myślenia logicznego. W 1824 r. stracił matkę. W kilka miesięcy potem, ten młody doktor filozofii, zaledwie doszedłszy do pełnoletności wytoczył proces o unieważnienie wszystkich ustaw, któremi ordynacya zredukowaną została z 12 kluczów na 3, a więc w tej liczbie i umowy przez ojca podpisanej, oraz o uznanie Jana Nepomucena W. za odpadłego od wszystkich ordynackich majątków. Żądanie powoda Aleksandra W. opierało się na pojęciu ordynacyi jako rodowej własności, w której ordynat jest tylko uzufruktuariuszem, nie mającym prawa istotą dóbr rozrządzać. Sprawa była do przeprowadzenia niesłychanie trudna i skomplikowana. Po rozbiórce kraju ordynacya dostała się pod rządy austriackie i pod kodeks austriacki, uznający instytucją fideikommissów, lecz gdy traktatem wiedeńskim z dnia 14 października 1809 r. ta część kraju, w obrębach której zostawała ordynacya, została do księstwa Warszawskiego wcieloną, zawarowano art. 10 traktatu, że jej mieszkańce „auront pendant six ans la liberté de disposer de leurs propriétés de quelque nature qu'elles soient, de vendre leurs terres, même celles qui vont censées inaliénables, comme les fideicommiss et les maiorats.“ — Korzystając z tego artykułu, Jan Nepomucen W. upraszał króla saskiego, księcia Warszawskiego, o pozwolenie sprzedania mu wszystkich nieruchomości, do czego przychyłając się król, dekretem z dnia 8. czerwca 1812 r., postanowił „iż bez uwłóczenia w niczém sposobowi, którym familia Wielopolskich ewentualnie powołana do sukcesyi majoratu

Pińczowskiego, mogłaby praw swoich dochodzić, o ile te prawa są jeszcze teraz w swój mocy, nie ma być, stosownie do wyraźnego brzmienia traktatu, czyniona żadna przeszkoda do sprzedaży.“ W sporze wytoczonym przez rodzinę, przeciwko wyprzedazy, zachodziło jedno główne pytanie: kto może być uważany za właściciela ordynackich majątków. Jeśli za takowego nie mógł być uważany ordynat — dożywotni tylko uzufruktuaryusz, więc chyba ród sam, to jest wszyscy wraz z ordynatem w skład rodziny wchodzący. Jeżeli przyznać ordynację jako pod kodeksem Napoleona istniejącą, rozrządzenie dobrami, nawet wedle 10 artykułu traktatu wiedeńskiego z 1809 r., mogłoby się odbyć li tylko za wspólną zgodą tak ordynata, jako i wszystkich innych członków rodziny, mogących kiedykolwiek być powołanymi do sukcesyi. Można było wprawdzie dowodzić, że ordynacja już nie istnieje pod kodeksem Napoleona, w moc artykułu kodeksu 896, wedle którego „substytucye są zakazane,“ chociaż do tego artykułu dodany przypisek, wprowadzający dla kreowanej przez Napoleona nowej szlachty majoraty: „jednakże dobra wolne, stanowiące uposażenie tytułu dziedzicznego, będą mogły być przenoszone dziedzicznie według przepisu aktu cesarskiego z dnia 30 marca 1806 r. i senatuskonsultu 14 sierpnia t. r.“ — Jeżeliby nawet przyznać ordynację pod kodeksem Napoleona jako już nie istniejącą, przy zlikwidowaniu majoratu nastąpiłby chyba podział dóbr ordynacji pomiędzy mających prawo do sukcesji członków rodu, nie zaś przeniesienie tytułu własności na ordynata. Dekret króla Saskiego kwestyą o zniesienie ordynacji arbitralnie przeciął, podał istnienie ordynacji w wątpliwość, z ordynata zrobił domniemanego właściciela ordynacji, a zainteresowaną w rozwiązaniu kwestyi rodzinę odesłał do sądów z jej za sporne uznanem prawem

opierania się sprzedaży. Familia opierała się sprzedaży o ile mogła, matka Aleksandra Eleonora domagała się, aby przynajmniej trzecią część dóbr ordynacyi oddano jej mężowi (memoryał do tronu 11 paźdz. 1811 r.). Odesłano skarżących się do ordynata w celu ułożenia się prywatnego z tym ostatnim (reskrypt ministra spraw. Łubieńskiego, 15 kwietnia 1812 r.). Sprzedaż doszła do skutku pomimo kroki prawne, rozpoczęte przez familię, której udało się, jakżeśmy powyżej objaśnili, ocalić w 1813 r. trzy klucze dla utrzymania dawniej czy utworzenia nowej ordynacyi. Na reszcie dóbr ordynackich, to jest na 9 kluczach rozdrobionych, pokrajanych, w rąk mnóstwo przeszłych, osnuły się gęstym spletem całkiem nowe stosunki, oparte na sprzedaży, jako na prawomocnym z dawien dawna dokonanym fakcie, gdy Aleksander W. wystąpił z zamiarem cały ten gmach zwalić, unieważniwszy akta sprzedaży, całą rzeszę nabywców z własności ich wyrugować i wyrestaurować ordynacyę w całym pierwotnym jej obszarze. Nie tu koniec powikłań, do odbudowania ordynacyi szła droga przez familijną tranzakcyę z 1813 r., podpisaną przez ojca powoda, któren wyrzekł się od imienia swego i synów 9 kluczy, ale zarazem i nabył mocą tej tranzakcyi 3 inne wraz z tytułem i godnością ordynata. Powód odcinał pod sobą prawną działanią swego podstawę, restaurował on nietylko ordynacyę, ale i żyjącego jeszcze ordynata, przychodzącego po unieważnieniu aktów sprzedaży znów do ordynacyi, a po za ordynatem stawała jeszcze z interwencyą córka jego Krystyna Bontani, dowodząca bliższości swjej do ordynacyi w przypadku, gdyby ordynacyę do dawnego stanu przywrócono, a ojca jej od posiadania oddalono. Żądanie powoda o usunięcie byłego ordynata od ordynacyi było najslabszą stroną jego akcyi, to też w toku procesu zaszły (1827) familijne układy,

mocą których Jan Nepomucen W. i pani Bontani zostali zabezpieczeni przez powoda, na przypadek przegranej, zapewnionemi im dożywociami na dwóch kluczach ordynacji. Ten nowy układ familijny, jeżeli z prawnego stanowiska czynił pozycję powoda mocniejszą, to z drugiej strony poniżał sprawę jego moralnie, jako wymierzony na szkodę osób trzecich, którzy zawierzywszy królewskiemu reskryptowi i państwowym urzędowi, ziemię ordynackie za swoje pieniądze nabyli. Po usunięciu się ordynata w głąb sceny, głównemi zapaśnikami ze strony odwodowej stali się nabywcy dóbr: Bem, Byczkowski, Gałęzowski, a najgłówniej najoryginalniejsza z figur w procesie Jan Bonerawa Olrych, od nabytego klucza ordynacji Szańca z mocy dekretu króla z 1813 r. Szanieckim nazwany, adwokat, przedsiębiorca i poseł na sejm, jeden ze skrajnych lewój strony demokratów. — Olrych występował jako nabywca ryczałtem całego mogącego zostawać po innych sprzedażach byłemu ordynatowi J. N. W. ruchomego i nieruchomego jego majątku za sumę 5,300,000 złotych, z których tylko 35,000 gotówką zapłacił, a z resztą przyjął długi ordynata (w tej liczbie żonie ordynata i córce 1,600,000 zł.). Olrych prowadził interes z wytrawną przebiegłością trybuna, osnuł obronę na wsteczniectwie przeciwnika, na nienawistym charakterze wszelkiej ordynacji, potraçał demokratyczne namiętności i łapał publiczność na wędkę postępowych haseł i frazesów; przypominał co chwila Aleksandrowi W., że lepiej aby się dobrze działo kilkuset rodzinom, których fortuna na podziale ordynacji wyrosła, aniżeli jednej osobie. „Syn starszy, twierdził Olrych, zabiera wszystko, a młodszym braciom i siostram powiada: niech was Bóg opatrzy; wasza wina, bracia młodszy, żeście się nie urodzili pierwój, wasza siostry, żeście się nie porodziły mężczyznami; moja

ordynacya nie może być mnie wydartą, jako żebrakowi torba.“ Olrych przepowiadał powodowi, że dawne wyobrażenia o zaszczytach przodków *za granicą* uzyskanych nie przechylą przed nim szali sprawiedliwości; wyrzucał mu nawet to, że powód przywiózł rozum z Göttyngi, a nie z Bononii albo Padwy, dokąd dawniej Polacy jeździli na naukę. Koniec końców z treści dowodów Olrycha wynikało, że dawny ordynat, któren ordynacyę rozproszył, za ten czyn godzien jest wszelkich pochwał, jako za obywatelską zasługę, jako za wyplenienie jakiegoś chwastu. „Czyn margrabiego, taka była konkluzya, sam tylko przesąd potępiać będzie, lecz geniusz dobra ogólnego włoży mu na skroń wieniec dębowy.“

Te niezdrowe sofizmy wywierały w swoim czasie wpływ wielki na opinią. Aleksander W. przegrał swoją sprawę (1855) nietylko w sądzie Najwyższym po 11 latach procesowania się, co się da łatwo wytłumaczyć chwiejnością prawnych podstaw jego akcji i tém, że miejsce Olrycha, któren stał się wychodźcem, zajęła prokuratorya, jako przedstawiciel skarbu, w skutek konfiskacyi majątków emigranta Olrycha, ale co więcej — i w przekonaniach ogółu. Po stronie W., wedle p. Lisickiego (I, 18), była mała tylko liczba „ludzi oświeconych,“ większość publiczności ujęła się za wierzycieli byłego ordynata, których chciano z próżnemi rękami z dóbr jego wyrzucić, i za ludzi co w dobrej wierze z trzecich albo czwartych rąk cząstki dóbr jego nabyli. Nie wiem czy dzisiaj sąd opinii byłby odmienny w ostatecznym rezultacie, sądzę tylko, że motywa, nawet nieprzychylnego wyroku, byłyby obecnie odmienne i że nie powodowanoby się tak wyłącznie, jak przed pół wiekiem, naturą instytucyi ordynacyi i jój jakoby sprzecznością z duchem wieku. Ordynacye dziś nie budzą szczególniejszej nieprzyjaźni, w społeczeństwach

bardzo demokratycznych mogą spokojnie istnieć i nawet korzyść przynosić szczątki dawnych arystokratycznych układów i urzędzeń. Ordynacyę uchylić może tylko nowe znoszące ją prawo; skoro nieuchylona, i prawo i sumienie nakazują, aby z nią rzetelnie postępowano. Demokracie, nieznoszącemu samego pojęcia ordynacyi, pozostaje bardzo prosty sposób działania: zrzec się ordynacyi: ale nie przywłaszczać ją sobie, skoro zaś ją przyjął, powinien, jako sumienny człowiek, oddać ją w całości następcy: jeżeli postąpi inaczej, dopuści się zamachu na cudzą własność, wykroczy przeciwko najprostszemu prawidłom uczciwości, nadweręży prawa osób trzecich. Skoro niepodobna zaprzeczyć, że rozproszenie ordynacyi, przez niemającego prawa rozrządzać nią, było bezprawiem, trzeba przyznać, że miał Aleksander W. racyę, wychodząc z tego stanowiska, dopomnieć się o awulsa, że mógł rozproszonych szczątków straconej całości dochodzić, nawet przekreślając podpis ojcowski; wszakże do podniesienia sprawy pubudzała go matka; wszakże sam ojciec do podpisania tranzakcyi 1813 r. był prawie zniewolony koniecznością ratowania, chociażby szczątków, rodowego imienia. Proces kaźden kosztuje. Po jedenastu latach takiego kosztownego i bezowocnego prawowania się, Aleksander W. usunął się, znikł z oczu publiczności, osiadł w Chrobrzu, zamknął się i, gdy nie mógł procesem, począł wytrwałą pracą, gospodarnością i oszczędnością dźwigać z ekonomicznego upadku przyćmiony splendor domu. Wypadło ciężko pracować, by odkupić postradane fundum rodu, Ateny polskie: Pińczów. Jako istny polski ziemianin, czuł W., że po 1831 r. już mu się całkiem na wieś przeniósł jedyne odtąd dlań możebne życie publiczne i krajem stał się powiat, a wieś stolicą. Margrabia przywiązał się całą duszą do gleby rodzinnej i z lirycznym zapełem malował

swój zakątek (Bibl. Ord. Myszk. 1859 r. str. 84), „swoją ziemię krakowską, na której się wielkość dziejów naszych osnuła, spokojne wzgórza nad piękną doliną Nidy, między górą Chrobrego, przypominającą czasy wojennej naszej wielkości, a wznoszącą się zdala świątynią w Wiślicy, prawodawczymi wspomnieniami Kazimierza Wielkiego otoczoną i górami, na których bieli się opodal Pińczów. Tu, pod cieniem lip starodawnych, zdają się brzmieć jeszcze głosy wieku Zygmuntońskiego.“ — Na te czasy zdrowego zajęcia się, pracy z upodobaniem na własnej roli, przypada oczyszczanie włościan, przewodniczenie wyborom do władz Towarzystwa kredytowego ziemskiego. Skutki tych prac, podejmowanych w ciasnym zakresie działania, mało były wiadome ogółowi, w którym utrwaliło się od czasów sprawy o ordynację wyobrażenie o margrabim, jako o twardym arystokracie, procesowiczu i potroszę peniaczu. Mało o to dbał Wielopolski, a powtarzał w duchu: *reliquendum est rumoribus tempus quo senescant* (Bibl. Ord. Myszk. 1859), zapomnieć o sobie jednak nie dał. Podczas zawichrzeń, które poprzedziły wielki rewolucyjny wybuch 1848 r. w Europie, obudziły się w Wielopolskim uzdolnienia szermierza i wystąpił on z słowem, które było zarazem i wielkiej doniosłości czynem politycznym, lecz było takiego rodzaju, że musiało nie zetrzeć, ale chyba podwoić niepopularność autora. Mówimy tu o słynnym bezimiennym *Liście szlachcica polskiego do ks. Metternicha*, wydanym po francuzku w Paryżu 1846 r. Rue de Tournon u Renouarc et C., liście, o którym wspominając w Bibl. Ord. Myszk. 1860, W. tak swój stosunek do niego określił: „margrabia nigdy się nie przyznał do tego pisma, ani się go zaparł,“ — w każdym razie autorstwa tego nie zataił.

## VI.



*Liście szlalcica* tak się wyraził p. Tarnowski (listopad 1879, Prz. p. str. 166): „ten człowiek płochy za zimnego ogłoszony, ma rozczulenia prawie liryczne, a tak wysokie i wspaniałe, że gdyby Jowisz płakał, nie płakałby inaczej. Tylko dodać trzeba, że on ojczyznę swoją kocha tak, tak namiętnie, że chce się mścić za nią. Słowa pisane pod pierwszém wrażeniem *w chwili namiętnego oburzenia* nie były prawdziwym programem margrabiego, czego dowodzi potém całe jego działanie. Nie zdawał się on (potém) cesarzom rossyjskim na łaskę i niełaskę, ale stypulował owszém i bardzo.“ Zgadamy się najchętniej z p. Tarnowskim, że list piętnował niby rozpaloném żelazem czoła winowajców i że był wspaniałą protestacją w imieniu Polski, godną stanąć obok pism Klaczki, słów pogardy Krasieńskiego, gromów Kajsiewicza z ambony. Zaznaczamy tylko, że stosunek listu do stanu duszy, charakteru i zamiarów autora, oceniony przez p. Tarnowskiego jak najniefortunniej i całkiem opacznie. Przeszło czterdziestoletni człowiek, któren list pisał, nie był już wówczas, a może i nigdy nie był krewnym, burzliwym młodzieńcem, któren w chwili passyi

tak daleko zaskoczy, że potem po przesileniu wypada mu się wycofywać i brać część powiedzianego nazad, składając na karb uniesienia. Margrabia miał serce, ale i rozagę, ta była stałym rysem jego charakteru we wszystkich stanach duszy, nawet roznamiętniał się on nie inaczej tylko z zamiarem i rozumą, a gdy płakał, to nie jako Jowisz, ale jako Cyceron, grający wprawna ręką na sercach, jak na klawiszach i wyciskający łzy, byleby się one przyczyniły do osiągnięcia jasno wytkniętego celu. Że list pisany był przez rzecznika i przytém nawykłego do dawnych zwrotów wymowy sądowej klassycznej, to się przebija w wielu miejscach, na przykład w tym ustępie, któregooby się nie powstydziła żadna klassyczna peruka: „Powiecie może: to był jedyny środek zachowania nam tego kraju. Mości Książę, zejdźmy do sklepów, gdzie leżą kości waszych monarchów; tam z pewnością chrześciańskiego sumienia zapytajmy: czy wypadało za taką cenę zachować ich domowi Galicyę? . . . . Słyszycie jak się te groby wstrzęsły. Widmo wielkiej i pobożnej Cesarzowej powstało najpierwsze, zjawia się téż wylękły cień Kaunitza . . . . i już odpowiedzieli!“ — Takich ustępów, w klassycznym stylu wyrzeźbionych, znalazłoby się sporo, w mowach i pismach margrabiego, do ich liczby należą apostrofy do cieniów Myszkowskich w sprawie o testament Świdzińskiego, i późniejsze w stanowczych chwilach działania lapidarne wyrazy, które do historyi weszły i sławnemi się stały, jako to: „ocalony w krwawym starciu, teraz w nowe prawo uzbrojony porządek publiczny w wasze ręce oddać przychodzę“ (marzec, 1861, albo: „po tych dniach pogodnych (?) noc z jaskini ukrytej zionęła nowy zamach i zgrozą kraj ogarnęła“ (5 lipca, 1862). — Z powodu tych ustępów powiedzmy co trzymamy w ogóle o krasomóstwie margrabiego.

Sam się on uważał za bardzo wymownego człowieka, nie tylko już względem treści mów swoich, ale pod względem formy, i sławił ten przymiot bardzo wysoko. (W wydany przez W. tomie 2 Bibl. Ord. Myszk. z r. 1860 przytoczony list Deotymy do „Demostenesa polskiego,” w którym poetka „raduje się chwilom spędzonym, przy wczytywaniu się w mowy, co wytrysnęły z ust brzęących taką potęgą.”) Że Wielopolskiego nawiedzały wielkie myśli — to niezawodnie; że doszedłszy do nich przez rozważę umiał on je potężnie odczuwać — temu nikt również nie zaprzeczy. Jego myśli i uczucia, jako u człowieka czynu, miały przeważnie praktyczne nakierowanie. Od lat młodych W. przyzwyczał się działać głównie słowem, które odlewał w pewne udatne formy. Te formy były dawne, używane w epoce, kiedy margrabia wstąpił po raz pierwszy na arenę życia publicznego, były klasyczne. Margrabia był i pozostał całe życie klasykiem w dyalektyce tak sądowej jako i politycznej. — W myśleniu zapanował już na dobre transcendentalny idealizm, dokładnie W. znajomy, w poezji — romantyzm, któremu też hołdował Wielopolski — wielbiciel Mickiewicza. Na sejmie jednak do listopadowego powstania i przed kratkami sądowymi po 1831 r. popłacały tradycje przeszłego wieku, przyzwyczajenia do mowy jasnej, trefionej, zaokrąglonej, pompatycznej; temi tradycjami W. przesiąkł i przechowywał je starannie, utyskując na to, że „wśród powszechnej rozsyпки, mowa nasza traci dobitność.” — Zachodziła pewna sprzeczność między estetyczną kulturą w człowieku i epoką, w której w bardzo spóźnionym wieku rządzić mu wypadło. Biegły sejmowy mówca i potężny szermierz sądowy, znalazł się w otoczeniu, po którym wszelkie praktyki życia publicznego oddawna już wymarły, a funkcjonowała tylko milczkiem biurokratyczna machina, on zaś

nie mógł się rozstać z dawnym nałogiem żywego słowa i próbował rządzić mowami, gdy może skuteczniej i prościej byłoby rządzić, nie narażając sobie nikogo, samymi tylko dekrétami. Większa część zarzutów przeciwko W. za brak taktu w postępowaniu upadłaby, gdyby w stanowczych chwilach 1861 i 1862 r. W. mniej był krasomówcą, mniej otwartym, mniej do jawnego publicznego życia wdrożonym. — Gdy zechcemy dociec nie to, co odczuwał W. w fatalnym roku *ostrzeżenia* 1846, ale czego dopiąć swoim Listem zamierzał, list ten z pomnika li tylko literackiego, jakim go chce mieć p. Tarnowski, zmieni się w program polityczny na całe życie, od którego to programu W. na jotę nie odstąpił.

Ajent dyplomatyczny rządu polskiego tymczasowego w Londynie, w początkach 1831 r., Wielopolski objął bezskutecznie progi angielskich ministrów, chodząc w polskich interesach i wśród ciężkich dla dumy jego, jako Polaka, upokorzeń, musiał się przekonać, że na pomoc cudzoziemców nie podobna rachować. Z misyi i z tułaczki emigracyjnej pozostały same tylko gorzkie wspomnienia. Powrotowi towarzyszył zwrot stanowczy w przekonaniach politycznych. Całe pasmo myśli, nie mających nic wspólnego z rzezią galicyjską, lecz wyrażonych w *Liście szlachcica*, datuje z tej epoki: „Nowa przyszłość gotuje się. Zamiast nieporządnego i awanturniczego pochodzenia należy, w skutek śmiałego postanowienia, które może serca nasze zakrwawić, obrać postępowanie zdrowe, zastosowane do wypadków. Zamiast zdobywania żebraniem pozycyi na zachodzie, możemy stworzyć przyszłość w przeciwległej stronie i przetorować sobie drogę do wnętrza olbrzymiego imperium. Coraz bardziej niezdolni być panami naszego losu, jako ciało polityczne, jako państwo, możemy znaleźć los nowy, jako ludzie tejże rasy . . . . W jedności

słowiańskiej mogą utonąć nienawiście. Sami przykładamy się do surowości rządów, które nad nami w Rosyi ciąży. — Szlachta polska będzie wołała iść z Rossyanami, na czele cywilizacji słowiańskiej młodej, silnej i pełnej przyszłości, aniżeli wlec się potrącana, pogardzana, nienawiedzona i łzona z tyłu za (europejską) cywilizacją zgrzybiałą, wymagającą i zarozumiałą.“ — Podniesienie słowiańskiego sztandaru nie było nowym wynalazkiem. W Bibl. Ord. Myszk. 1860 margrabia zaśłania się od zarzutów tém, że w Liście prawie dosłownie tłumaczył Staszycę. Od Czartoryskich, od Staszycę, od Woronicza, od ludzi, co stanowili rossyjską partyę w konstytucyjnej Polsce z 1815 r., odznaczał się margrabia w swoich pomysłach chyba tém tylko, że mniej budował na osobie panującego i dynastycznych interesach, a więcej na zamianie usług i wzajemności dwóch narodów, tak różnego temperamentu, że nigdy jeszcze dotąd nie ruszały się w jeden takt. Autor Listu nie proponuje wcale złania się w jedno, lecz dopuszcza przy odrębności narodowej sposób pożycia dla obu stron dogodny i użyteczny. Korzyść dla Rosyi z załatwienia kwestyi polskiej byłaby ta, że siły cesarstwa otrzymałyby niepodobny do obrachowania przybytek, że cesarstwo wyleczyłoby się od téj gorączki, którą sprawuje wewnętrzny nasz opór, że zbogaciłoby się umysłowemi siłami naszej rasy, że może nawet wewnętrzne cierpienia społeczeństwa rossyjskiego dałyby się złagodzić przez wsączenie się polskiego pierwiastku, nakoniec, że cesarstwo nabyłoby przez nas wpływ na kraje zaludnione przez naszych braci i nową przewagę nad plemionami Słowian południa i zachodu. Korzyść dla Polaków byłaby ta, że otwarłoby się dla nich szerokie pole pracy społecznej, interesów pozytywnych, mogących wypełnić rozpaczliwą próżnię teraźniejszego po-

łożenia. To wyprowadzi nas ze stanu niewolników i żebraków, które nas poniża i osłabia. W gorączkowym i próżniaczem uganianiu się za niedającą się ująć przyszłością zdolności się psują, charakter narodowy się kazi. . . . . matki krwią i żółcią karmią niemowlęta. Nie, rozpacz wiekowa nie może być w woli Bożej, tak jak ojczyzna nie może być bożyszczem domagającym się nieustannych ofiar wspólnego dobra całej ludzkości i wiernych zasad społecznego porządku.“ Kto nie odróżnia panslawizmu od kwestyi słowiańskiej, potępia pierwszy i nie uznaje drugiego, tego nie przekonają przytoczone przez nas ustępy. Skoro jednak dopuścimy, że kwestya słowiańska istnieje, że rozwija się i coraz bardziej wydatnieje, będziemy musieli przyznać, że program Wielopolskiego był bardzo dobrze obmyślany i głęboki, tak że nawet po upływie ćwierci wieku nie wiele przyszłoby doń dodać a nic ująć. Dziś jeszcze program ten dałby się spełnić, trzeba tylko, aby jeniec człowiek stanął u steru rosyjskiego rządu, albo aby się z biegiem czasu osnuły i zawiązały pomiędzy oświeconymi ludźmi obu narodów stosunki wzajemności, a za nimi poszło wyrozumienie wspólnego interesu. Z bożyszczem ofiar ludzkich pragnącym, innymi słowy, z marą restauracyi margrabia się załatwił i po dojrzałej rozważce osądził ją stanowczo: „przeszłość spłonęła i strawiła się, z pozostałych zarodków przyszłość odbudowywać należy“ (I. 97, list do Romana Załuskiego). Trzeba było wyrzec się wszelkich skarg o restytucyę, wszelkich powoływań się na granice 1772 r., wziąć sam podział Polski za punkt wyjścia i od tej tylko chwili zacząwszy rachunki, pozycyę i prawo nasze do narodowego bytu przenieść z karty: *ma*, na kartę *winię*, to jest zrobić tę ewolucyę, którą p. Tarnowski pięknymi słowy zaleca (str. 114 z stycznia 1880. Prz. Pol.) jako rzecz najprostszą w świecie, nie wspomni-

nając tylko, że powtarza rzecz zrobioną już oddawna przez Wielopolskiego.

Teorya słowiańszczyzny nie była nowym wynalazkiem, powodzeniu jój u nas stała głównie na zawadzie trudność wmówienia Polakom, że dawna wielkość i splendor ich dziejów są tylko marą przeszłości, przez nikogo obcego nie uznawaną i nie mogącą przeto służyć za podstawę do uzasadnienia jakichkolwiekbyż wymagań praktycznych. Wiadomo, że najtrudniej jest poradzić z porujnowanemi potomkami bogaczy, procesującemi się z całym światem o dawne fortuny ojcowskie i dowieść im, że żyją na kredyt i że na chleb powszedni powinni każdy grosz zarabiać. Margrabia podjął się tego trudnego zadania i przeprowadził swoją słowiańską teorię w nowem oświeceniu, jakie jój dawały łuny płonących dworów szlacheckich w Galicyi, i rzezie niewinnych, bezbronnych ludzi, mordowanych za sprawą komisarzy rządowych i kajdaniarzy z więzień wypuszczonych. Szlachcic przemawiał do szlachty, i namawiał ją do zmiany frontu, do obrócenia się przeciwko zachodowi. Artysta użył wybiegu sztuki krasomówczej i dramatyzował podawaną naukę. Wprowadził on na scenę dwie idealne postacie, księcia Metternicha i cesarza Mikołaja, każdą zaczął w sposób odpowiedny sytuacji, stworzonej przez rzeź galicyjską; księcia Metternicha stawiał pod pręgierz historii, Cesarzowi nasuwał myśl ujęcia się za Słowian krwią ociekłych, zostawiał wreszcie pojętnym słuchaczom wyciągnąć dalsze wnioski i moralne nauki. Księżciu dana nie skąpą ręką taka mniéj więcej odprawa:

Rozebraliście Polskę — nie skarżymy się o podział; zwyciężyliście — a biada zwyciężonym. Panującą osobą w tem państwie była szlachta. Wstąpiliście w prawa króla, objęliście po szlachcie całe jój wszechwładztwo po-

lityczne, i na to mieliście prawo, prawo zwyczajcy. Z władzy politycznej odarta szlachta pozostała odrębnym stanem w narodzie. Ograniczyć jej wyjątkowe położenie, porównać ją z innymi stanami i do jednej miary doprowadzić, mieliście jeszcze prawo, wszakże było wiadomo, że w ostatnich chwilach sama szlachta owa dobrowolnie poczęła schodzić ku takiemu porównaniu. Pozostało nam po upadku jedno nic, coś tak małego, że o niem mówić nie warto, byt całkiem niepokazny — życie wiejskie z chłopami, jedyne życie publiczne i jedyna odtąd nasza ojczyzna. Należało zostawić ten stosunek nietkniętym, jak to czyni rząd rossyjski, albo, gdy go za zły uważano, znieść go od razu i indemnizacją, jak w Prusach, gdzie włościanin stał się sąsiadem dawnego pana i niema z nim nic wcale do czynienia; takie tylko stosunku rozwiązanie stanowcze, jasne, godnem jest nosić miano agrarnego prawodawstwa. Wyście zachowali pańszczyznę, wyście ją użyli za środek panowania. Wyście rozmyślnie ten stosunek jątrzyli, mnożąc z zamiarem policyjne rozporządzenia i przepisy i płodząc całą klasę urzędników, ten trąd, pochodzący od psucia się stosunku między panem i chłopem, i z tego psucia się i zatargów pomiędzy szlachtą a chłopem swe pożywienie ciągnący. Nie dajecie oświecać ten lud włościański, moralnie zaniedbany. Proboszcz prawie od wszystkiego usunięty, a pomnażane tylko kongregacye Jezuitów. Wasze szkoły są najbardziej w porównaniu z innymi państwami zacofane, w waszych wydziałach teologii i seminariach panuje od czasów Józefa suchy racjonalizm. Od lat siedmziesięciu, kłamiąc poszanowanie dla narodowości polskiej, wmawialiście temu ludowi, że on nie polski, że Polacy — to tylko szlachta. Byliście kusicielami, a gdy skutek okazał waszą nieudolność, uciekliście się do zbrodni, zabrnęliście w krew. Au-

torowi Listu leży głównie na sercu brak otwartości, ohydna obłudność; zdzierając maskę z austriackiej polityki, wyznaje on, że tysiąc razy woli rewolucję: „gdy we Francji powstała wielka i mocna demokracja i wytraciła szlachtę, było to skutkiem nowego porządku rzeczy, a taż sama zasada obaliła i tron. Gilotyna ścinała głowy bez zażartości i obelg, lecz obok niej brzmiała Marsylianka — hymn przyszłości. Przyszłość ta zaświtała dla wszystkich, niedobitki szlachty przyszli u tego źródła się odrodzić i znaleźli w dobrodziejstwach społecznych, używanych spodem ze wszystkimi obywatelami, sówite wynagrodzenie za straty i nową sławę, w dodatku do dawnego honoru i wspomnień.“ Lecz wy zachowawcy, obrońcy tronu, promotorowie prawowitości, tknięci największą dla rządu chorobą: kłamania sobie samym, cóż nam zaofiarujecie zamiast odejmowanych ostatnich rękojmi? Odkąd skonfiskowaliście nam serca naszych włościan na rzecz waszego cesarza, odkąd kazaliście nam rozdierać się z chłopami w bratobójczej walce, nie ma już narodu polskiego. Weźcie nam życie za okup tego, coście nam wydarli; wróćcie nam miłość włościan, a gdy macie zabijać, niech to niebędzie z ich ręki.

Jakkolwiek każde serce polskie musiało zadrzeć na to wspaniałe wyrzekanie, pełne słusznego gniewu i druzgocącej pogardy, nie wiele serc tych mogło dać się zniewolić do odczuwania tego, co się mieści w końcu listu, w przedmowie do drugiego uczestnika w dyalogu—Cesarza Mikołaja: „przychodzimy oddać się wam jako najwspaniałomyślniejszemu z przeciwników. Byliśmy twojami jako niewolnicy — prawem zaboru, przez postrach i wazyliśmy za nic wypruszone przysięgi. Dziś nabywasz nowy tytuł władania. Oddajemy się tobie, jako ludzie *wolni*, z dobrą ochotą, a bez ostentacji i rachuby. Stajesz się

panem naszym z łaski Boga, którego wyrokowi poddamy się. Odrzucamy precz interesowane i zwodnicze spółzucia, tanie frazesa i wszystko co ludzie pompatycznie *prawem narodów* zowią — łachmany, któremi nas przyodziewało miłosierdzie Europy, nie mogące przykryć ran naszych i blizn. Nie stawiamy warunków, zbędziesz się kiedy zechcesz surowości twego prawa względem nas, my nic nie omawiamy, ale ujrzysz w sercach naszych zapisaną ognistemi literami proźbę jedną i jedyną: ukarz za zbrodnię, dokonaną na braciach naszych galicyjskich, nie zapomnij krwi słowiańskiej, która woła o pomstę.“ Dziś, po latach tylu, i po przejściu przez wszelkie jarzma kaudyńskie, wyrazy te jeszcze rażą nader nieprzyjemnie, nawet jeżeli je brać będziemy jako czysty wybieg dyplomatyczny dla polectania ucha samodzierzcy, któren „nadto jest szlachcic, ażeby dopuścić wyrzynać nawet nieprzyjaciół i nie poniżyć się aż do oddania zbójom swojego wszechwładztwa.“ Ponieważ jesteśmy pokonani, więc nie możemy stawić warunków. Ponieważ jesteśmy nie wolni w wyborze, nie mamy powodu zdawać się na łaskę lub niełaskę. Losem naszym nie rozrządzamy, dań cesarską będziemy płacili cesarzowi, ale ztąd nie wynika, abyśmy mu oddawali serca nasze, abyśmy ukochali rękę, która nas mocno bije, dla tego tylko, że nas bije. Serce sercem się tylko nabywa i płaci. Przychylić je z musu, podesłać je pod nogi zwycięzcy — o, tego nie dokaże nikt, nawet pod warunkiem, że dostarczy zemstę na wroga za doznane krzywdy, nektar bogów, rozkosz niebieską. Autokrata uważający siebie za wcielenie legitymizmu, nie okazał nigdy najmniejszej skłonności ku sławiańskim fantazyom, ku posuwaniu się na Kraków i Lwów, dokąd go wołał Wielopolski, ani na najprzelotniejszym z uczuć — zemście, niepodobna polityki budować, czego najlepszym

dowodem terazniejsze galicyjskie stósunki odnośnie do korony Habsburgów. Polityka zemsty, i jątżenia jednego ze współników świętego przymierza przeciwko drugim, szczególnie niedogodną jest dla nas, jako pomiędzy trzy państwa podzielonych, które, jeżeli kiedykolwiek się zetną, zostaniemy w tem starciu się zmiążdżeni. Nie mógł Wielopolski proponować Rossyi na seryo wojnę z Austryą, i nie przez galicyjskie wypadki przyszedł on do swoich ku Rossyi sympatyj. Trącenie w strunę zemsty było tylko zręcznym zwrotem adwokata dla pociągnięcia tych, do których przemawiał, to jest spółrodaków, celem skapto- wania ich dla podjętej i głęboko od dawna przemyślanej teoryi słowiańskiej. Później wytłómaczymy dla czego po- ciągnąć udało się bardzo niewielu, obecnie poprzestaśmy na zaznaczeniu jeszcze jednej, bardzo charakterystycznej ale też i bardzo słabej strony w traktowanej przez mar- grabiego w Liście szlachcica kwestyi polskiej. Margrabia patrzy na sprawę polską z wysokości dachu swego do- mostwa, sądzi, że po rozbiórze Polska rozłożoną została na dwa tylko pierwiastki; szlachcic polski i chłop polski, zo- stające w pewnym przyjaznym względem siebie stosunku. Rossyjskie panowanie dla tego znośne, że pod niem nie- tykalnym został „spółeczny porządek,“ to jest, że się utrzy- mał patryarchalny pańszczyźniany stósunek, którego stron- nikiem nie mógł być W., ale który on przekładał nad interwencyę rządu przeciwko właścicielom ziemskim skie- skierowaną. Rossyjską odpowiedzią na to zbyteczne zau- fanie w nietykalność stósunku był znakomity ukaz, z dn. 7 czerwca (26 maja) 1846 r., stanowiący punkt wyjścia późniejszego uwłaszczenia chłopów. Ani w dawniej Polsce szlachcic nie był wszystkim, chociaż wszechwładztwo po- lityczne sobie przywłaszczył, ani tem bardziej po roze- braniu Polski mogła polska narodowość być zamkniętą

w obrębie tylko właścicielskiego dworku i zawisnąć na włosku patryarchalnego stosunku, którego samo instnienie pod kodeksem Napoleona stało się zupełną anomalią. Dwoistość Polski porozbiorowej, czyniąca narodowość tak niepochwytą, tak trudną i do ostatecznego pognięcia i do prowadzenia, tak łatwą do odrastania, odbiła się w istnieniu dwóch prądów, które się wybitnie zaznaczyły i w życiu i w literaturze. Po jednej stronie stanął Zygmunt Krasiński z temi myślami: „w szlachcie jest potęga, hart. Nie w prawnikach, nie w kupcach, ani w rzemieślnikach, ale w szlachcie jest bohaterstwo; w szlachcie albo w prostym ludzie. Z lemiesza i roli, nie zaś z bruku i rzemienia wywijają się szlachta. W prostym wieśniaczym plemienu spoczywa zaród wszystkich wielkości narodu. Ten zaród, gdy się z kurzu otrząśnie, a zachowa blask i połysk żelaza, szlachtą mianowany bywa. Jeżeli gdzie poezya to w niej” (Wyjatki z listów Z. K., Paryż, 1861, str. 37). Po drugiej stronie były ogniste słowa Juliusza Słowackiego, którym niepodobna zaprzeczyć całej prawdy:

„Kiedyś was ze sto tysięcy  
Było szlachty z serc i lica,  
Dziś jednemu znał szlachcica,  
I kraj cały nie znał więcej“ . . .

Polityka nie dopisała Słowackiemu, ale niepodłe uczucia zaiste tchnęły w tych ludziach zapału i poświęcenia, którzy chociaż obłądnie i nie w porę, apostołowali powstanie. Darmo autor Listu usiłował przekonać, że „fakcja wywrotu społecznego“ złożona z samych wyrzutków społeczeństwa: „*tout était servile en eux jusqu'à leur manière de concevoir la liberté.*“ I margrabia nie był sprawiedliwym względem swoich w narodzie przeciwników — rewolucjonistów i ogół ówczesny, nawet po

przekonaniu się, że ruch był nie w porę i złemi środkami prowadzony, inaczéj sprawców jego osądził i nie zatwierdził ryczałtowego potępienia. List był czynem bardzo znaczącym, do myślenia pobudzającym i rozgłośnym, lecz popularności autorowi nie przysporzył, owszem obudził podejrzenia do dziś dnia z panslawizmem połączone. Sprawa o testament Świdzińskiego pogorszyła jeszcze stanowisko Wielopolskiego w opinii publicznej. Załatwimy się z tą sprawą jak najkrócej i w kilku słowach zbędziemy pytanie, kto miał rację: margrabia, czy opinia?

## VII.



erdeczne węzły przywiązania i szacunku łączyły obu mężów, z których jeden — Konstanty Świdziński, o 10 lat od drugiego starszy, bibliofil i antykwaryusz, drogą nauki doszedł do pojęcia o wzajemności słowiańskiej, a drugi przez politykę oparł na tej wzajemności, jak na osi, swoje działanie. Obaj byli uczeni, obaj zachowawcy, obaj arystokraci. Kaptowanie Świdzińskiego przez Wielopolskich: Aleksandra i Zygmunta, o zapis im zbiorów, jest niedorzeczną i złośliwą bajką. Wiedząc o niepewności wszelkich u nas instytucji publicznych, pozbawionych prawdziwej opieki we władzy, Świdziński postanowił wyzyskać swój stosunek przyjaźni z W. dla swojego dzieła *pro publico bono* i oprzeć bibliotekę, niby splot powoju, o ordynację Myszkowską, która mu się wydawała mocną jak dąb, tak, że jej burze nie wywróci. „Wszystko co mi najdroższem, pisał przed śmiercią (Bibl. Warsz., 1875 r., II, 463), czemu poświęciłem cały dostatek, zdolności i życie, w twe ręce oddaję. Ufam, że poszanujesz tę pracę moją, urządzisz ją i zawarujesz tak, iżby przy imieniu rodu twego pozostała nie-

rozproszona na przyszłe wieki, dla dobra ziomków. Świdziński życzył, aby muzeum stało w Warszawie, a gdyby nie można było w Warszawie, to w Sulgostowie, ale podsuwanego mu przez Erazma Michałowskiego „Rysu ustawy muzeum“ nie podpisał i odwróciwszy się do ściany odpowiedział: Wielopolski więcej ma rozumu od was wszystkich. Testament Świdzińskiego — jedyne rozporządzenie, mające znaczenie ostatniej jego woli, powiada: kapitały, zbiory i Sulgostow.... „zapisuję i wieczyście daruję A. W. prawem zupełnej i nieograniczonej własności. Wszakże życzeniem mojem jest, i o to legataryusza usilnie proszę, aby, bądź w Sulgostowie, bądź w Warszawie, czy gdzie to do osiągnięcia zamiaru stosowniejszem uzna, kupił lub wybudował dom odpowiedni na zbiory i bibliotekę, z dochodów Sulgostowa, i starał się o wydanie rękopisów. Upraszam W. użyć środków, aby biblioteka i rękopisy, dzielając naturę ordynacyi Myszkowskiej, nie mogły być alienowane, a zawsze zostawały własnością rodu Wielopolskich, ku pamięci szczerogólnego téj familii poważania. Zostawiam władzę W. sprzedać Sulgostow lub na inny majątek zamienić dla rozwinięcia środków utrzymania i powiększenia biblioteki.“ Wielopolski z umierającym Świdzińskim się nie widział, list Świdzińskiego doszedł rąk jego w Rzymie. Konieczności przyjęcia legatu nie było ani prawnéj, ani moralnej; są zapisy, które stają się ciężarami i wymagają ofiar, a ofiary mogą być tylko dobrowolne. Instytucye publiczne, w rodzaju bibliotek, są niezmiernie kosztowne, koszta utrzymania wzrastają równo z ich rozwijaniem się i mogą wycieńczyć wszelką kieszeń prywatną, nawet kieszeń niebogatego ordynata, dzwigającego się z ruin na czwartej części ordynackich niegdyś majątków. Mogła zachodzić, i w samej rzeczy zachodziła, kollizya między obo-

wiązkami W., polegającemi w tém, aby nie dopuścić uszczuplenia *rei familiaris*. Wielopolskiego rozrzewniło zaufanie przyjaciela, więc zapis, nie wahając się, przyjął, co więcej — uczynił to, jak zwykł był wszystko czynić, stanowczo, z rodzajem ostentacyi, przyczém zaawansował się aż do wyrzeczenia w mowie, mianéj w sądzie apellacyjnym, słów następnych: „tą dyktaturą przyjaźni i zaufania z nikim się nie podzielę, strażę innéj nad sobą, okrom ducha Świdzińskiego i mojego sumienia, nie uznam. Niektórym nademną gadatliwym przywodzeniom po dziennikach ani się podobam, ani w mojem przedsięwzięciu zniechęcę“ (Bibl. Ord. Myszk. 1859). Słowa te były nierozważnie stanowcze; wyrzekając je, margrabia nie porachował się z okolicznościami, z uczonemi przyjaciółmi Świdzińskiego, z opinią. Najniepraktyczniejszy z ludzi, Świdziński, oddając zbiory Wielopolskiemu prawem własności, mianował czterech egzekutorów testamentu: Aleksandrowi hr. Przeździeckiemu i Julianowi Bartoszewiczowi zalecił, aby mieli wpływ i uczestnictwo w urzędzeniu i lustrowaniu biblioteki, nakoniec w papierach jego znaleziono pismo na dwa miesiące wcześniejsze od testamentu (11 września 1855, testament zaś pisany 11 listop. 1855), niewłaściwie zwane kodycylem, w którem polecał swoje zbiory opiece 42 kuratorów z tych uczonych, z którymi zostawał w przyjaznych stosunkach. W skutek tych okoliczności to, co przybrało później w pismach głośną nazwę fundacyi Świdzińskiego na użytek publiczny, znalazło się pod czynną opieką kilkudziesięciu, żadnym prawnym tytułem nieopatrzonych orędowników, którzy tém gorliwiej występowali w roli stróżów fundacyi i popierali dojście do skutku kiedykolwiek, gdziekolwiek objawionych przez fundatora zamiarów, im mniej ich dotyczył zapis Świdzińskiego materyalnie. Nikt nie troszczył się o kieszeń

i środki margrabiego, każdemu chodziło o jak najwspanialsze uposażenie biblioteki i muzeum; ordynacyi starczyło za chlubę, gdy mogła stać się skromną podstawą nowój narodowej instytucyi. Od razu starano się sforsować rękę margrabiemu i wymagano od niego, jako należności, rzeczy takich, które nie był on dysponowany spełnić, ani byłby w stanie spełnić. Tym brakiem taktu, a nawet i słuszności odznaczył się szczególnież Julian Bartoszewicz. Cytuję własne jego słowa z Bibl. Warsz. (1857, II, 487): „Świdziński zrobił dla dobra ogólnego jedną z największych fundacyj, ściągającą oczy całego narodu. Dzieje epoki zapiszą imię jego i przekażą pokoleniom. Zapis biblioteki Wielopolskiemu jest tylko *fikcyą*. (?) Tytuł własności i nadzór należą do W., własność zaś sama jest publiczną.“ Od Wielopolskiego wymagali nietylko rzekomi opiekunowie, ale i egzekutorowie testamentu, na przykład Erazm Michałowski i Przeździecki, aby przyjął przygotowaną przez Michałowskiego a niepodpisaną przez Świdzińskiego ustawę dla muzeum, z warunkami: aby było w Warszawie, aby w niem margrabia miał jeden tylko apartament, aby jednym z kuratorów muzeum został, oddalony przez testatora od zbiorów, najbliższy jego krewny, Ludwik Świdziński.

Wielopolski nie chciał i nie mógł poddać się wymaganiom rzeszy opiekunów i rozkazom stujęczycznej pani-prassy, mającej wyobrażać usposobienie opinii w danej chwili, miał więc on do czynienia jednocześnie z dwoma przeciwnikami: jednym sądowym — spadkobiercami K. Świdzińskiego *ab intestato*, braćmi jego Ludwikiem i Tytušem, którzy W. pozwali o unieważnienie testamentu, i drugim niesądowym, daleko uprzykrzeńszym, z którym wypadało prowadzić podjazdową wojnę dziennikarską i odcinać się na wszystkie strony, a jak wiadomo, w takich

walkach *nec Hercules contra plures*. Proces ze Świdzińskim przeszkodził mu rozporządzić się Sulgostowem. Trzymając się ściśle w granicach testamentu (czy gdzie to do osiągnięcia zamiarów stósowniejsem uzna), W. obrał na pomieszczenie biblioteki rodowy swój Chrobrz, użył 14 tysięcy rubli na pobudowanie odpowiedniego pomieszczenia, wedle planów Marconiego, na budynku tym położył napis: *A. W. re familiari restituta et Constantini Swidziński dono aedes has a fundamentis erexit bonarum artium studiis dicavit*. Otworzona biblioteka nie była wprawdzie publiczną, lecz margrabia ofiarował wszystkim profesorom, członkom uczonych towarzystw, redaktorom pism, pisarzom, pracownikom, którzy objawią cele poszukiwań, gościńę. Główny proces o testament został przez W. wygrany w dwóch ostatnich instancjach (1857 sąd apelac., 1858 r. Senat), lecz protesta egzekutorów przeciwko obranemu sposobowi urzędzenia zapisu oddziaływały na sądowy przewód sprawy, a gdy bracia Świdzińscy, nie poprzestając na przegranej w sprawie o unieważnienie testamentu, wytoczyli kilkanaście nowych procesów, z innych już zasad wychodząc, zniechęcony Wielopolski, przewidując, że te procesa pochłoną cały kapitał przeznaczony przez Świdzińskiego na bibliotekę, a może nawet uszczuplą sam Sulgostów, ugiął się, odstąpił od mozolnego przedsięwzięcia, po czterech latach ujadań się i sporów, zrzekł się legatu i podzielił się z innymi osobami „dyktaturą zaufania i przyjaźni.“ Margrabia postąpił roztropnie i miał zupełną rację, gdy pisał (Bibl. Ord. Myszk. 1860): nieswobodnego ziszczenia zamiarów K. Ś. nie chcę, swobodne nie może się odbyć wśród targowiska swarów i poduszczeń. Tuszyłem, że zdrowe ziarno ufności przyjaciela, staraniem naszym pielęgnowane, przemoże nad kąkolem podejrzeń, ale ten chwast bujniej rośnie i lepiej

popłaca.... Że po pokonaniu sądownie nieprzyjaciół, przed przyjaciółmi (egzekutorami testamentu) teraz ustąpić z pola musimy, sąd o tem na sumienie całego kraju zdajemy. Ze zrzeczeniem się przez W. zapisu ustawały funkcyje egzekutorów. Ustępując W., rozrachował się ze spadkobiercami *ab intestato*, potrącił z objętych kapitałów testatora koszta prawne wygranego procesu, odniósł na swoje konto kosztowne pobudowania w Chrobrzu, co więcej — zapewnił, jeżeli nie rozwijanie się instytucyi, to przynajmniej całość zbiorów przyjaciela. Układem z hr. Krasieńskimi, bracia Świdzińscy ustąpili zbiory Konstantego Ś. i dali je przyłączyć do majoratu Krasieńskich pod warunkiem, utrzymania tych zbiorów w Warszawie i czynienia ich dostępnymi dla uczonych badaczy. Na utrzymanie tych zbiorów zobowiązali się prócz tego Świdzińscy do płacenia rocznie renty z 1650 r. sr. Chociaż wstęp do tych zbiorów połączony jest dla publiczności obecnie z niemałemi trudnościami, niema w tem winy Wielopolskiego, ale nie słychać najmniejszego upominania się o to, aby dano im lepsze urządzenie, ułatwiające możność z nich korzystać. Z całego procesu ze Świdzińskimi pozostały nam tylko w literaturze ówczesnej humorystyczne wyskoki i przypisy do dwu tomów Bibl. Ord. Myszk., pełne dowcipu, soli, werwy, złości.... ale pełne téż i osobistości, tylko zawziętością walczących tłumaczonych. Pomawiany o zamiary zawładnięcia zbiorami Świdzińskiego, margrabia o coś pono gorszego oskarżał Bartoszewicza, bo o usuwanie ze spisów i zatrzymywanie u siebie dla wydrukowania w wydawanej przez Bartoszewicza „Kronice,” niektórych rękopisów Świdzińskiego. Mimo swój werwy, polemika nie przykładała się do poprawiania reputacyi W., a sprawa o testament dorzuciła słusnie czy niesłusnie jeden do wielu innych ciężarów,

które dźwigał Wielopolski i które mu mocno szkodziły w przyszłym zawodzie politycznym. Poglądy jego polityczne już były streszczone w *Liście szlachcica*, lecz dla Polski, od samej chwili nachylenia się jej do upadku, tak się fatalnie złożyły okoliczności, w skutek zaniedbania stosunków socyalnych, że kwestya polityczna gmatwała się wciąż z socyalną i obie jednocześnie domagały się rozwiązania. Zanim więc dotkniemy politycznej roli margrabiego, powinniśmy zdać sobie sprawę, jak on kwestyą socyalną rozumiał, i jakie w niej cele dla siebie zakładał? czego życzył i co próbował osiągnąć w trudnym stosunku pańszczyźnianym, który podawał się do rozwiązania.

## VIII.



żaden stanowczy i nagły przewrót w społeczeństwie jest rodzajem przesilenia w zadawnionej chorobie. Przewroty bywają polityczne albo socyalne. Niełatwo sprostać jednemu z nich. Odbyć obydwaj przewroty jednocześnie jest dla społeczeństwa prawie takimże niepodobieństwem, jak dla pojedynczego idącego człowieka wyciągać jednocześnie obie nogi naprzód. Zbieg obu przewrotów w jednej chwili czasu bywa zwykle śmiertelny. Dawna Polska życiem go przypłaciła, nie rozwiązawszy swojej kwestyi socyalnej — pańszczyzny, lecz zapisała ją do swego testamentu, jako obowiązek do spełnienia (na korzyść Polski zauważamy, że w chwili jej zejścia nigdzie w Europie, oprócz Anglii, kwestya socyalna nie była jeszcze rozwiązana). Losy przyszłej Polski były z kwestyą socyalną najściślej związane i od poprzedniego rozstrzygnięcia jej zawisłe, bo dla pańskiej i pańszczyznianej Polski nie mogło być żadnego zmartwychwstania, a odrodzenie mogło się odbyć tylko w nowych warunkach bytu, w równości i wolności wszystkich stanów, począwszy od rolnika. Na polskim patryotyzmie leżała przedewszyst-

kiem powinnośc dojść nie tylko do usamowolnienia włościan, ale i do wydobycia ich z niewoli ekonomicznej. Jak dojść do tego celu? Kwestyę socyalną trzymał mocno w swoim ręku rząd rossyjski i wcale nie zamierzał ją załatwić, ani w dawnych polskich, ani w rossyjskich prowincjach, stanowiących fundum cesarstwa, przez cały długi przeciąg rządów cesarza Mikołaja. Poddaństwo kompensowało rossyjskiej szlachcie brak swobód politycznych, a na tych dwóch poddaństwach: chłopskiem względem panów i szlacheckiem względem tronu, wznosił się niebotyczny gmach absolutyzmu, obsługiwanego przez biurokracyę, chętną do wszelkich praktycznych prób socyalizmu, dla przytarcia szlachcie rogów. Spółeczeństwo polskie, wprężone do jednego jarzma z rossyjskiem, zostało sztucznie wolą autokraty utrzymane w bezruchu, z przymusowem ustaniem krążenia myśli i organicznej pracy około podstaw. Jeżeli gdziekolwiek i kiedykolwiek mogła się przydać rada, podawana dziś przez p. Tarnowskiego: „zatrzymać dech, zataić życie,“ byłaby ona na miejscu odnośnie do naszych poprzedników, których położenie było z tego względu daleko od naszego gorszem i trudniejszem, co też i policzyć im trzeba przy poczytaniu wszystkich szalonych prób powstania. Ogromne zachodziły różnice wieku i temperamentu w dwóch do jednego zaprzęgu należących narodowościach. Rossyjski pierwiastek w cesarstwie znosił ten sztuczny letarg daleko lżej i cierpliwiej, dla bardziej rozwiniętego polskiego powstrzymanie żywotnych funkcj krążenia krwi i oddechu równałoby się śmierci, a ponieważ nie wolno było pracować około sprawy włościańskiej i kaźden marzący o zniesieniu pańszczyzny uchodził za rewolucyonistę, więc pozostawało to, co stanowi jedyną pociechę samotnego więźnia: uciekać w krainę marzeń i niemi się napawać (za co potem otrzymaliśmy

surowe ostrzeżenie: *pas des rêveries*). W marzeniach tych związek obu kwestyj z musu i konieczności był przewrócony na opak: naprzód wyzwolenie się polityczne, a potem załatwienie sprawy włościańskiej. Mniej przeznorni a gorętsi posuwali się do projektów o powstaniu z pociągnięciem doń ludu, któremu miano ofiarować ziemię nadziałów włościańskich bez okupu, na zupełną własność, zadarmo. Nieznaczną była liczba takich śmiałych zaskokujących naprzód utopistów. Większość inteligencji zacierzała do gabinetów europejskich, od nich czekała pomocy, a zaś w kwestyi włościańskiej rachowała się z użytemi i doświadczonemi w Europie sposobami uwolnienia i uwłaszczenia ludu wiejskiego. Wielopolski należał do małego pocztu tych ludzi, którzy wnet po zawodach 1831 r. nie rachowali już wcale na pomoc zagraniczną i powzięli myśl światłą wytrwania, doczekania się autonomii pod Rosyą, a przy autonomii rozwiązania, wedle swego rozumienia i wedle narodowych potrzeb, kwestyi włościańskiej, by ten lud polski ekonomicznie niewolny użytkować na podkład do budowy odradzającej się autonomii polskiej, w granicach przedewszystkiém Królestwa polskiego. Kwestya włościańska miała dwie strony: prawną i polityczną. Margrabia musiał ją naprzód w sumieniu swem rozstrzygnąć, jako prawnik, i orzec z punktu widzenia właściciela ziemskiego, jaki należy się udział w ziemi pracującemu na téj ziemi od wieków ludowi, niezależnie od wszelkich względów i komplikacyj politycznych. Odpowiedź na to pytanie równała się ustanowieniu *minimum* tego, co koniecznie dać wypadało ludowi rolnemu, jako rzecz jemu z prawa przynależną. Po nad to *minimum* wyciągnięte przez prawnika mogły iść bardzo a bardzo daleko ustępstwa, które polityk uznałby za potrzebne dodać w danéj chwili ze względu na okoliczności towarzyszące wykonaniu

wielkiej socyalnej reformy. Ponieważ Wielopolski rachował się nie z Europą, a z Rosyą i przez Rosyę zamierzał regulować polskie narodowe stosunki wewnętrzne, słusznie można było sądzić, że będzie miał na uwadze i że uwzględni przebieg sprawy włościańskiej w samej Rosyi, zwłaszcza po dwu ostrzeżeniach już danych przez rząd rosyjski, wywołanych przez ruchy rewolucyjne polskie i będących zapowiedzią środków, jakimi rząd zamierza ruchy te okiełzać, a temi były: ukaz dnia 7 czerwca (26 maja) 1846 dla Królestwa polskiego i tak zwane inwentarze Bibikowa z 1847 r. i po ogłoszeniu dla Rosyi słynnej ustawy o włościanach z dnia 19 lutego 1861 r. W tém *więcej* po nad wymagania ścisłej sumiennosci mógł Polak polityk zająć daleko przed wybuchem 1863 r. z samych tylko pobudek przezorności. Silny prąd w kierunku uwłaszczenia objawił się w Towarzystwie Rolniczem i zniewolił Andrzeja Zamoyskiego do podpisania znanego okólnika z d. 20 marca 1861 r. (Il., 65) o uwłaszczeniu przez okup czynszu, który w warunkach ówczesnego wzburzenia umysłów i gorączkowych oczekiwań ze strony włościan, mógł prowadzić do hurtowego zaprzestania pańszczyzny, a potem do rozcięcia węzła sprawy włościańskiej przez uwłaszczenie, jeżeli nie za pół darmo, to za znacznie zmniejszonym okupem. Ludzie ku powstaniu idący rzucali, nie wahając się, grunt ludowi, byle powstał i naśladowali w tej rzeczy chirurga, któren część ciała ucina, byle uratować życie w całym organizmie. By to życie ocalić w inny sposób, nie dopuszczając do powstania, mogli przeciwnicy powstania zaofiarować przynajmniej część tego, co szybko, a raźnie wykroił później Komitet Urządzący Milutinowski działający za pomocą przyrzędu z 14 komissyj do spraw włościańskich i licznych komissarzy w samej Rosyi w chirurgicznem urządzeniu stosunków włościańskich wy-

ćwiczonych. Jedyłą rzeczą, która się rządowi nieźle po myśli jego udała, było szybkie załatwienie sprawy włościańskiej, tak stanowcze, że dzisiaj z dokonanego faktu nic się nie da cofnąć, ni odrobić. Nie p. Lisicki, ani hr. Tarnowski, ale wcale inni ludzie, z innych wychodzący stanowisk, a sądzący rzeczy *post factum* i bez uwzględnienia przysłowia: mądry po szkodzie, zapatrują się dziś w ten sposób na stan rzeczy w Królestwie w 1861 r., że gdyby W. uprzedził rząd rossyjski w kwestyi włościańskiej, gdyby zaciągnął do roboty w niej co najradykalniejszych i najpostępowszych członków Towarzystwa Rolniczego, gdyby, nie wahając się, przeprowadził z władzą w swoim, a zatem w polskim ręku, wprowadzić nieco doraźnie, nie cały nawet późniejszy program Mikołaja Milutina, któren mając już całkiem wolne pole do działania w Królestwie, pozwolił sobie więcej niż mógł dokazać w Cesarstwie, z powodu oporu szlachty rossyjskiej, ale część tylko tego programu; gdyby o krok tylko postąpił naprzód w porównaniu z ustawą rossyjską z 19 lutego 1861 r., to jest byle uwłaszczając od razu włościan, indemnizował właścicieli ryczałtem za grunta włościańskie, a włościanom kazał odtąd do skarbu płacić gruntowy podatek: takie wzięcie się do rzeczy na socyalnym gruncie, zdaniem obecnie wielu ludzi, od razuby podcięło skrzydła ruchowi rewolucyjnemu, przeciwstawiłoby powstaniu zwarte massy chętnych włościan i uprzedziłoby powstanie, całkiem je ubezwładniwszy. Łatwo dowieść na zasadzie faktów, zebranych w książce p. Lisickiego, że margrabia do takiej roli reformatora socyalisty wcale się nie nadawał i że w żadnym przypadku taka reforma nie mogła w głowie jego się mieścić, że nawet party najbardziej nagłacemi względami polityki, zapewne nie mógłby do takiego dzieła ręki swojej przyłożyć.

Wielopolski był zawsze stanowczym przeciwnikiem pańszczyzny, to jest przymusowej robocizny, i jako człowiek oświecony, któremu nie mogły być niewstrętne te szczątki niewoli, i jako miłośnik zapalony porządku cywilnego, który wraz z kodeksem Napoleona został na pniu narodowym zaszczerpiony i tak się dobrze przyjął, że sam ten kodeks stał się czemś na kształt arki przysmierza między dawnymi i młodszymi laty, że się obrócił w narodową świętość i pamiątkę. Stósunki agrarne zostawały po za kodeksem, ztąd z dawien dawna przed powstaniem wyrażona i powtórzona w podaniu Wielopolskiego, jako Gł. Dyrektora Kommissyi Sprawiedliwości (21 kwietnia 1861 r. II, 105), słynna zasada, że pańszczyzna istnieć nie powinna jako przeciwna art. 1142 kod. cyw., mocą którego każde zobowiązanie czynienia lub nieczynienia, w razie niewykonania go ze strony dłużnika, przechodzi w zobowiązanie wynagrodzenia szkód i obrot. Ztąd poszła doraźna i bez namysłu na samym wstępie do rządów (ustawa 4 maja 1861 r.) zamiana pańszczyzny okupem prawnym, niezbyt wysokim, wyobrażającym nie wartość roboty wolnego najemnika, ale wartość téj lichéj przymusowej pracy, którą, jako przymusową, nie bardzo ceniono. Okup był w każdym razie tylko surogatem czynszu, i przejściem do oczynszowania na zasadzie klasyfikacyi gruntów. Margrabia lubił nawet w aktach urzędowych przytaczać, jakim sposobem oczynszował swoich włościan w ordynacyi (II, 110). Innych prócz czynszu stosunków nie mógł ustanowić W. w majoracie jako uzufuktuariusz, któremu nie wolno dóbr alienować, lecz dalej nad czynsz i długoletnią dzierżawę nie sięgały wcale jego zamiary. Biblioteka Ord. Myszk. 1879 r. str. 58, mieści jego bardzo wyraźne ekonomiczne credo. Jako właściciel ziemski, margrabia zakładał sobie cel taki: po-

zbyć się przy uprawie ziemi pośredników, dzierżawców i podstarościch, wejść w bezpośrednie stósunki z włościanami, wydzwignąć tych ostatnich z przedpotowego stanu pańszczyzny. Margrabia był stanowczo za długoletniem wydzierżawieniem kawałków gruntu włościanom na lat 24 nie więcej i przeciwko uwłaszczeniu, więc szafował dość skąpą ręką ludowi dobrodziejstwa z reformy agrarnéj. Warunkiem oczynszowania stawił zniesienie całkowite spółności lasów i pastwisk. I ze względów ekonomicznych i ze względów prawnych, przez dbałość o jedność prawodawstwa walczył on jak najmocniéj przeciwko wspólności włościańskiéj: „nasz kodeks zeszedłby do *jus terrestre* i wróciłibyśmy do czasów różnych prawodawstw dla szlachty i chłopów.“ Takie były przekonania margrabiego przez całe życie, przekonania arcy zachowawcze, prawie kodeksowe; ztąd sprzeczki z Tomaszem Potockim, niezaprzeczenie głębiéj w stósunki włościańskie sięgającym; ztąd znęcanie się nad gminą włościańską; ztąd dosadne wyrazy że nie chce on „kodeks Napoleona zastępować serbskimi prawami Cara Duszana“ (I, 61). Wypadki wyprzedziły poglądy Wielopolskiego i mocno podkopały się pod jego nieco zacofane teorye. Ukaz z d. 7 czerwca (26 maja) 1846 r. wzbraniający uszczuplenia gruntów włościańskich i wcielania pustek do fundum dworskiego, tworzył odrębnéj natury nic wspólnego z kodeksem nie mającą własność nieruchomą, na której już wtedy można było przeczytać Baltazarowemi zgłoskami napisane: *uwłaszczenie*. Tój przestrogi margrabia nie zrozumiał, godząc się z dokonanyim faktem, chwali on ustawę za położenie końca bakchanaliom pańszczyznianego przymusu, chwali ją nawet za to, że nie użyła słowa: uwłaszczenie, więc „nosi na sobie godło poszanowania dla praw własności.“(?) Ma on jój tylko za złe, że zahamowała czyn-

szowanie odwłoką oczekiwania i obudzeniem jakichś nieokreślonych nadziei (Bibl. Ord. Myszk. 1859). Z przymusem na rosyjski sposób uwłaszczeniem z urzędu nie mógł W. się pogodzić nietylko jako prawnik, któremu przyświecała w jego rozumowaniach o stosunkach agrarnych idea własności kodeksowa, i nietylko jako człowiek nawykły działać wedle jasnych myśli" (XXXIV.), ale jeszcze jako człowiek narodowy i przedstawiciel zachowawczych dążeń ogromnej większości inteligencji polskiej, przeważnie składającej się z szlachty. Obie narodowości i polska i rosyjska różnią się nie tylko mową, obyczajami i interesami. Dzieli ich jeszcze głęboka przepaść i różnica temperamentów i pewnych zasadniczych pojęć, pomiędzy którymi pierwsze miejsce trzyma pojęcie o własności nieruchomej. Przewódcami w olbrzymiej agrarnej reformie w Rosyi byli albo urzędnicy demokraci, operujący śmiało za pomocą rozporządzeń i ukazów, mało bacząc na prawo, dworując sobie nieraz, jak to czynił Mik. Milutin w poufnych zwierzeniach się przed przyjaciółmi ze skrupułów ludzi, wyznających prawniczą ortodoksję (*juridyczeskoe prawostawie*), albo słowianofile w odrębności swój narodowej zakochani, którzy kojarząc europejski socjalizm, znany im z książek, z zamętem niewyrobytonych jeszcze domowych stosunków, podnosili i propagowali pewien nihilistyczny idealizm twierdząc, że dobrem jest, iż się nie ustaliło ostatecznie w Rosyi prawo własności nieruchomej, a mocnem i przodkującym było prawo długiego posiadania, że sama własność wygląda, wedle pojęć ludowych, jako wieloletnie posiadanie, że słabo zarysowanemi cechami rozrządzalności i wieczystości, że w państwie chłopskiem własność chłopska przeważać powinna nad szlachecką; że wspólność gminna jest klapą bezpieczeństwa od proletaryatu; że nie trzeba przykładać ręki do

zniesienia służebności, wrębu a szczególnie pastwiska; że niema powodu żądać aby płynny rozczyń agrarnych stosunków krystalizował się w ostatecznie wykończone formy. Te idee, które później formułował książę Aleksander Wasilczykow w znanem dziele: *Zemdlewładzenie i zemledieli*, Petersburg, 1876 r. 2 tomy, a które znalazły energiczną opozycję, na przykład w zbiorowej broszurze *Guerrier i Czyczerina: Russkiej ditletantizm i obszczyjnoje zemlewlądzenie*, Moskwa 1878 r., były w obiegu w obozie postępowych i w prasie, a że i stosunki polityczne i prawodawstwo w Rosyi są w stanie równie mało skonsolidowanym, jako i stosunki agrarne, więc słowianofilski socjalizm mógł rachować na przejście w czyn i praktykę za pośrednictwem małej grupy jednako usposobionych u steru stojących ludzi, skutkiem carskiego *fiat*. Wielka ilość socjalistycznych pomysłów nie doszła do skutku w Rosyi w skutek oporu wiernopoddańczej szlachty rosyjskiej, z którą trzeba było się rachować, ale mogła doczekać się urzeczywistnienia na Litwie i w Królestwie polskiem, gdy stłumiwszy powstanie, rząd prawem odwetu przez repressalię nad polską szlachtą oddał w ręce dymisyjonowanych po 19 lutego 1861 r. twórców agrarnej ustawy rosyjskiej Milutina, ks. Czerkaskiego, Jak. Sołowijewa i kompanii uregulowanie agrarnych stosunków w ziemiach od Polski zabranych, aby niczém nie krępowani, czynili jakie chcą eksperymenta in anima vili. Trudno było przewidzieć ten rzeczy obrot, który stał się możebnym dopiero po powstaniu 1863 r. — U Lisickiego (I., 319) znajdujemy ciekawą wiadomość, że już w maju 1862 r., podczas dłuższego pobytu w Petersburgu, margrabia obawiał się wezwanego z zagranicy Mik. Milutina, aby niedano mu Polskę „urządzać i przerabiać grubym jakim wystrzałem z prawodawczego działa.“ Ostrość

praktycznego zmysłu wskazywała Wielopolskiemu, jacy są jego główni przeciwnicy, ale nie sięgała aż do przeniknięcia i dyskusowania teoryj tych przeciwników. Pod tym względem od Wielopolskiego był wyrozumialszym i bardziej zastanawiającym się Tomasz Potocki, któren przyznawał pewne uzasadnienie ideom rossyjskim trybunów plebis, godził się na niepodzielność włościańskich osad, na minoraty włościańskie i nawet na urzędnia gminne (I., 60). Dość przeczytać wyciągi z listów i pism margrabiego, przytaczane przez Lisickiego (I., 56), ażeby przyznać, że W. w kwestyi uwłaszczenia był twardym i bezwarunkowym zachowawcą, mającym swój sposób widzenia bardzo wyraźny, bez żadnych ustępstw i ograniczeń: „skaleczenie prawa własności, te są słowa Wielopolskiego, w jednej żyłce organizmu społecznego, rani tę własność i drażni we wszystkich innych członkach. Do żywego dotknięta, kurczy się ona i w mozolne dla niej same uciążliwe ostrożności obwija. Swoboda czynności cywilnych jest skrępowana i najkorzystniejsze dla obu stron układy drętwiąją..... Urok własności z *przymusowego* uwłaszczenia pochodzącej ma na odwrocie wyłączonego medalu napis: *zmora zaboru*. Uwłaszczenie, chociażby na zasadzie sprzedaży lub zmiany przymusowej, rodzi obawę co do własności ziem pod innemi tytułami dzierzonych, jako to: młynów, dzierzaw wieczystych, dzierzaw folwarcznych. Zabór i żądza przywłaszczenia coraz wyżej wtenczas i coraz zuchwałej czoło swe podnosi.....“ W sprawie więc włościańskiej W. mógł występować tylko jako zachowawca i głównie tylko jako przedstawiciel interesów ziemskich, wychodzący z zasady: *nic darmo*, ale starający się, aby przejście od pańszczyzny na czynsz przez okup odbyło się w najbardziej słuszny, dostępny dla włościan i nieuciążliwy sposób. W całym planie organizacji sto-

sunków agrarnych W. wychodził z przypuszczenia, na którym też oparł cały swój system polityczny, że znajdzie uznanie w obywatelstwie i że dozna poparcia od zachowawczych żywiołów, które się koło niego ugrupują. Nawet zawiódłszy się w nadziejach i nie znalazłszy oczekiwanego poparcia w żywiołach parlamentarnych, W. nie mógł znaleźć odpowiedniego materiału i z niego wytworzyć system organów działania biurokratyczny, organów, którym można było całkiem zaufać. Pamiątką, jak miała być załatwiona kwestya agrarna, wedle myśli W. i przy pomocy mężów zaufania z obywatelstwa, służyć: ustawa o oczynszowaniu z urzędu z dnia 5 czerwca (24 maja) 1864 r. (II, 359) i poprzedzające jej początkowy narys Myśli i Uwagi, podpisane przez wiadome imiona ludzi do téj rzeczy powołanych i zasiadających w komitecie doradczym włościąńskim przy Komissyi Spraw Wewnętrznych (Tom. Potocki, Aleks. Ostrowski, Goltz, Jackowski, Węgleński, Lud. Górski, Wojciechowski, Krzyżtoporski, Aleks. Kurtz, Adolf Kurtz, Wrotnowski, Leop. Kronenberg i Z. Wielopolski). Za punkt wyjścia wzięto prawo z 1848 r. oraz zapowiedziane w ustawie o okupie pańszczyzny z dnia 4 maja 1861 r. oczynszowanie wieczyste, a przez to wprowadzony stan podzielonej własności, nieznanym kodeksowi cywilnemu. Dano pierwszeństwo dobrowolnym umowom o czynsze wieczyste albo długoletnie (nie mniej jak na 20 lat). W razie nie dojścia dobrowolnych umów przepisano postępowanie z urzędu na żądanie albo właściciela, albo rolników. Wszelkie wieczyste oczynszowanie powinna poprzedzić całkowita separacya, rozdział wspólności, uprzątnienie służebności i użytków. Czynsz ma się ustanawiać z urzędu na podstawie klasyfikacyi gruntów, wedle normalnej dla każdej klasy dochodu, w życie zamienionego na przecięciowo średnią cenę żyta, za potra-

cenieniem wszystkich podatków i ciężarów. Wszelka renta wieczysta jest spłacalna wedle 530 art. kod. cyw., czy przez dobrowolną umowę, czy z urzędu. Dla ułatwienia okupu osnuty projekt Banku Czynszowego (III., 263), mającego wypuszczać listy czynszowe (kapitalizując czynsze z 5 proc.); projekt ten nie został urzeczywistniony w skutek okoliczności od W. niezawisłych. W lat kilkadziesiąt przy takim trybie postępowania i przy ułatwieniu okupu czynszów, za pomocą bankowej operacji, uwłaszczenie mogłoby nastąpić bez żadnych wstrząśnień, stopniowo, pomału, jak się dokonywa do dziś dnia w wewnętrznych guberniach Rosyi. Wszystkie te przypuszczenia i już w trakcie wykonania będące reformy, zostały ubezwładnione i zniweczone w skutek zawieruchy z 1862 i powstania 1863 r., poczem rząd karząc ekonomicznie właścicielstwo polskie *in corpore*, położył krzyżyk na robotach agrarnych W., a zaś stosunek własności podzielonej przeciął doraźnie, na ile to mu było potrzeba, niby przez operację chirurgiczną, ukazami z dnia 2 marca (19 lutego) 1864 r. Włościanie otrzymali grunta na pełną własność, rząd zobowiązał się do indemnizacyi właścicieli, a włościan obłożył osobnym gruntowym podatkiem do skarbu. Przy uwłaszczeniu nie uprzątnięto, ale owszém starannie zre-staurowano służebności i użytki, za pomocą których, niby na zarzuconym na szyję arkanie, można jeszcze prowadzić wielkie właścicielstwo polskie, trzymając je pod sztychem nie uprzątniętej jeszcze ostatecznie kwestyi agrarnej, pod postacią wrębu do lasu i wypasów. Indemnizacya obliczona nisko:  $\frac{4}{5}$  roczn. czynszu kapitalizowana z 6 $\frac{0}{10}$ . Dodajmy szybki sposób postępowania całkiem administracyjny, po za obrębem władz sądowych, nierówny, wykonywany przez urzędników niekrajowców stronniczo względnych tylko dla włościan, bardzo nieprzyjaźnie usposobionych względem

obywateli ziemskich. Różnica w rezultatach olbrzymia, osiągnięta ekonomia czasu, byt materyalny włościanina ogromnie podniesiony, włościanie w Królestwie skorzystali tyle, ileby nigdy nie osiągnęli, gdyby nie było powstania, daleko więcej niż otrzymali włościanie w środkowych guberniach cesarstwa. Wszystkie te skutki podnosi i oblicza, poniżając roboty Wielopolskiego płaatny pólurzędowy publicysta *A. de Moller*: *Situation de la Pologne au 1 janvier 1865*. Paris, 1865. — Wypadek zmylił wszelkie ludzkie rachuby i wyprzedził tych nawet, którzy chcieli dokonać naprawy budowy społecznej na szerokiej podstawie demokratycznej przez uwłaszczenie, ale iść chcieli do tego celu rozsądnie i powoli, bez gwałtu i wstrząśnień, oglądając się na prawa nabyte. Wypadek dokonał więc i uporządkował rzeczy w jednej chwili lepiej może, aniżeli to było w czyichkolwiek bądź, nawet najmędrszych zamiarach. Nikt z działających osób nie może tego wypadku sobie przypisać, położyć na karb swoich zasług, jak nie może chlubić się wiatr, że koła wiatraku obraca, więc ani ci, którzy, by pobudzić lud rolny do powstania, rzucali mu na wędce uwłaszczenie, które on połknął, ale zahaczyć się jednak nie dał i do powstania nie przystał; ani ci cudzoziemce, co trzymając pod swoją piętą pokonaną narodowość, czynili polityczną egzekucję w kształcie reformy agrarnej. — *Sic vos non vobis* możnaby rzec i powstańcom i Urządzącemu Komitetowi. Bezpośrednią przyczyną i warunkiem takiego doraźnego uwłaszczenia był największy błąd, jakiego się naród polski w bieżącym stuleciu dopuścił: powstanie 1863 r. — Czy nie za drogo kupiony ten w każdym razie ważny rezultat socyalny: rozszerzenie podstaw budowy społecznej uwłaszczeniem rolników? — Nie, nie za drogo, nawet porachowawszy i upust krwi przez powstanie i wszystkie pozycye stra-

cone przez narodowość, skutkiem powstania, i co gorsza — nawet ten zamęt w pojęciach o własności i o stosunku ludu względem rządu, któren nastąpić musiał po ostrem przeprowadzeniu reformy. Cały wypadek staje przed nami jako dokonany olbrzymi fakt historyczny, fakt nieodwołalny, fakt któren, w stosunku Wielopolskiego, stał się wbrew jego chęciom, na przekór całej jego polityce. Uwłaczaż to jego rozumowi, przezorności i polityce? — Wielu na jego miejscu poszłoby może dalej w ustępstwach względem włościan, ale żaden Polak, dobrze życzący ojczyźnie, nie mógł zamierzać załatwienia kwestyi agrarnej sposobami, któremi odbyło się uporządkowanie stosunków agrarnych przez Rossyan po pokonaném powstaniu. Nie-naturalném byłoby żądać od chorego człowieka, aby sam siebie amputował. Dodajmy, że do tak szalonego postanowienia w polityce mogłyby pobudzić tylko rewolucyjne zamiary i popędy, a margrabia przez całe życie był tylko twardym konserwatystą.

---

## IX.



Wypada z danego założenia naszej roboty, zawierającego się w tém, aby podnieść te tylko okoliczności w życiu i charakterze Wielopolskiego, które niedostatecznie dotąd uwzględniono, że najniżej mamy do powiedzenia o jego zawodzie czynnym politycznym, to jest o okresie od dni lutowych w 1861 r. aż do 16 lipca 1863. r., kiedy schodząc ze sceny, złamany moralnie, opuścił na zawsze Warszawę i kraj. Nie czujemy się na siłach kreślić obraz polskiego ruchu, ani dziejów powstania. Słowa, czyny i instytucye, któremi się zarysowała na tem tle z ognia postać margrabiego, są prawie wszystkie wiadome. Jako człowiek publiczny W. był niezmiernie otwarty i tem może nawet sobie szkodził, że tak nic nie tając, nie miarkując ani łagodząc, wszystko dobitnie domawiał. Cały jego sekret potęgi i dojścia do władzy zawierał się tylko w pewności siebie i myślach jasnych, a nie w sposobach wzięcia się do rzeczy i przypodobania. Zamykając rzecz naszą w bardzo ciasne ramki polemiki z p. p. Lisickim i Tarnowskim, poprzestaniemy na najpobieżniejszym prześlizgnięciu się po

całej téj burzliwój epoce, z naznaczeniem tak głównych jój momentów i zwrotów, jako i różnicy w zapatrywaniu się i ocenie wypadków, jaka zachodzi pomiędzy nami i wspomnianemi przez nas autorami.

Po paryskim traktacie 1856 r., któren zakończył pełną upokorzeń dla Rossyi wojnę krymską, zaznaczyły się dwa wielkie ruchy ważne dla Polski, a ich szeroko rozchodzące się fale przecinały się, krzyżując na powierzchni Królestwa polskiego. Jeden szedł ze wschodu, z Rossyi, dźwigającój się ze swego czasowego upadku i objawił się w licznych reformach, zacząwszy od włościańskiej, przy zwolnieniu dość znacznem rygoru, w jakim nawet myśl ludzka była długo krępowana przez militarizm cesarza Mikołaja. Odrębność bytu Królestwa z jego za balsamowanemi instytucyami, których rząd nie tykał, sprawiała, że granice Królestwa były odgradzone niby murem chińskim, za który nie przechodził żaden ruch reformistyczny rossyjski, krom w kwestyi włościańskiej. Reforma agrarna w Rossyi budziła oczekiwania i ludu rolnego w Polsce i sprowadzała chroniczną chorobę pańszczyznianego stosunku w stan zapalny. Ogniskiem drugiego ruchu, datującego od powstania 1831 r. było wychodztwo; hetmanili mu wielcy poeci szkoły, tak zwanój romantycznej — najwięksi jakich posiadała Europa w drugiej ćwierci XIX. wieku, niczem innem tylko czarem pieśni i potęgą wyobraźni poruszający całe massy, panujący bez podziału nad umysłami i uczuciami intelligentnój warstwy narodu. W chwili obecnej skłonni jesteśmy potępiać romantyzm, składając nań winę wszystkich ostatnich klęsk, i niepowodzeń, ale czembyśmy byli bez niego, to i określić się nie da. On nas odrodził; w ogniu tego uczucia nasz patryotyzm oczyścił się, spotęgował; nasza narodowość doszła do świadomości, zbyła się naśladownictwa,

stała się umysłowie samoistną, rozwinęła skrzydła. Bez romantyzmu bylibyśmy może przepadli, wynarodowili się w prędkim czasie, dziś posiadamy czarem pięknej formy uwiecznione uczucia, które na wieki wystarczą i z pokolenia w pokolenie przejdą; na nich opiera się, jak na opoche, pewność naszej narodowej przyszłości. W skutek bardzo nieszczęśliwego składu okoliczności, przez bardzo długi przeciąg czasu, bo od listopadowego powstania aż do śmierci cesarza Mikołaja, narodowość nasza była wolna tylko myślą, a skrępowana ciałem, mogła karmić się jedną tylko poezją, a miała całkiem zamknięte pole czynu; miała podrażnione wciąż nerwy czucia i paraliżowane sztucznie nerwy ruchu. Przedłużona chwila uchodziła za wieczność, jój rozstrój bramy był za cechą charakteru całego narodu. Naród zdawał się złożonym z samych rozmarzonych entuzyastów, nieznających co to kompromis, stawiających kwestyę: wszystko albo nic, śmierć albo niepodległość polityczna i gotowych pół Europy zburzyć i wytoczyć strugi krwi, by usadzić na tych ruinach biały upiór restauracyi zmarłego państwa w granicach 1772 r. Głównym motorem powstania był niewątpliwie ten chorobliwy stan psychologiczny, jeżeli nie do stworzenia to do przedłużenia którego przyłożył się rząd rosyjski, zręczny gdy może działać mechanicznie, gwałtowny gdy chodzi o użycie materialnych środków przymusu, ślepy i niezaradny gdy ma do czynienia z jakimkolwiek bądź moralnym psychologicznym pierwiastkiem. Najwiękzy dla cesarskiego rządu w Rossyi polityczny interes polegał w tém, aby nowe odbudowanie państwa przez reformy, nowe zagospodarowanie się po wojnie krymskiej odbyły się bez skomplikowania ich przez kwestyę polską. Małe ustępstwa, dziesiąta część autonomii, którą oktrojowano z musu po wypadkach lutowych, wy-

starczyłyby na zajęcie umysłów, na nadanie im nowego kierunku ku celom i robotom praktycznym, ku zastosowaniu do Polski tych samych reformniepolitycznych, a tylko administracyjnych i socyalnych, które rozpoczęte były w cesarstwie. Było to jedyne lekarstwo na *rêveries*, jeżeli nie chciano czy nie umiano go podać, nie należało zwalniać ani na włos rygoru mikołajewskiego systemu, bo tylko przy téj temperaturze niżéj zera mogły trwać dawne bezruch i skrzepłość. Zamiast pierwszego, zamiast drugiego, dopuszczono dojście systemu, któren mieścił w sobie same niebezpieczeństwa obu poprzednich, nie gwarantując żadnych ich korzyści. Gruba nieprzezorność była tak wielką, że miała wszystkie zewnętrzne cechy prawie prowokacyi. Podżegacz do powstania nie mógłby się uporać zręcznie i sprawniej. Zbliżono moralny rząd powstania do jego podstaw przez amnestyę, zdjętych oczekiwaniem i przesyconych nudą i próżnią działania niczem nie zajęto, podrażniono miłość własną narodową upokorzącą cieżnieniem w oczy niby dzieciom: „precz z marzeniami,“ nareście dano palącą kwestyę włościańską na zabawkę w ręce nowo kreowanej prywatnej instytucyi — Towarzystwa Rolniczego, do której jako do prywatnej i polsko-narodowej rząd nie mógł mieć żadnego zaufania przez wrodzoną podejrzliwość, spotęgowaną odziedziczonemi tradycyami cesarza Mikołaja. Ruch datował się od dawna, usunięto rządowe tamy, które go mechanicznie wstrzymywały. Wylew musiał nastąpić, chybaby w owem społeczeństwie polskiem żywiły zachowawcze złożyły się na postawienie nowej tamy i chybaby znaleźli się ludzie, którzyby na utworzenie téj tamy rzucili, zamiast kamieni i faszyn, swoje rachuby i urazy osobiste, miłość własną, popularność, reputacyę i całe życie. Występując na pole politycznego działania, jako tego gatunku

zachowawca, Wielopolski wiedział, że ma bezwarunkowych i nieprzejednanych nieprzyjaciół w tych massach, które toczą się ku powstaniu siłą nabytego ruchu. Z Myśli i Uwag W. przekonywamy się, że w 1835 r. margrabia sam doskonale uwzględniał i oceniał, przynajmniej ze stanowiska pojedynczej osoby, znaczenie psychicznego stanu, z którym miał do czynienia w zbiorowym człowieku — publiczności. — „Kiedy się działać zaczyna, powiada on (XLV.), zda się, że strumień działania daje się kierować wszędy, dokąd idą życzenia:

Bis an des Aeters bleichet Sterne  
Erhob mich der Entwürfe Flug....

*Schiller.*

„Lecz skoro treściwemu działaniu się oddamy, wykazuje ono nieodzowne rozwinięcia swego warunki, które na miejsce onych życzeń i urojeń wstępują i którym poddać się trzeba. Pierwsza chwila przejścia z tamtego stanu do tego jest bolesna, obudza smutek i rozpacz, które w wielu piętnem całego ich życia pozostają, tak iż zwrot ciągły ku tamtemu ich stanowi zwykł się w nich obudzać.“ — To tak dobitnie dostrzeżone i opisane przeobrażenie się siły, przejście jej ze stanu uczucia i fantazyi w treściwe działanie, odbyło się w Wielopolskim, lecz nie mogło się odbyć tak prędko w większości narodu, a ponieważ nie odbycie się przejścia stanowiło zawadę, więc wyzywało Wielopolskiego do walki, wywoływało jego gniew i oburzenie, a wiadomo, że przy rozkołysaniu się namiętności rzadko kto jest panem siebie i zachowuje bezstronność. Wielopolski już w 1846 r. bezstronnym nie był, gdy w Liście szlachcica uważał w ogóle rewolucjonistów za nikczemników i wyrzutków społeczeństwa, a od 1861 r. stosunek ten jeszcze się bardziej pogorszył. Margrabia

i ruch powstańczy były to dwa wręcz sobie przeciwne i wrogie żywioły, nie tylko nie mogące się pogodzić, ale nawet zaledwo się rozumiejące. W obec téj ich zasadniczej sprzeczności, upada zarzut p. Tarnowskiego, że margrabia nie umiał czy nie chciał we właściwy sposób poradzić sobie z głosem sumień, że nie poważnie traktował powody postępowania, które zniewalały większość stronić od niego, to jest sprawować albo dopuszczać powstanie (listopad 1879, Prz. p. str. 150). Sam punkt wyjścia p. Tarnowskiego w téj kwestyi jest fałszywy; sądzi on, że istnieje naprzód idea czysta, która, gdy się urzeczywistnia, staje się to za pomocą kompromisu, z poświęceniem części téj idei, z odstąpieniem zawsze czegoś z naszego honoru, z naszej zasady. Na to założenie odpowiedział już zwycięzko p. Lisicki (Dom. spr. 87), tłumacząc, że zapewne sam p. Tarnowski nie czuł, że wykraczał przeciwko honorowi i zasadzie, gdy brał udział w Radzie Państwa austriackiej i korzystał z dobrodziejstw konstytucyi austriackiej. Dorzucmy, że idea jest zawsze tylko abstrakcją z realnych stosunków wyciągniętą, jest odbiciem się ich niewyczerpującem, niezupełnem, wymagającym ciągłego prostowania. Sumienie, wedle p. Tarnowskiego, kazało ludziom 1861 r. nie ustępować nic z zasady niepodległości; dziś sam p. Tarnowski, zgodnie z sumieniem narodu, to jest jego myślącej większości, przyznaje warunki istnienia inne, niż niepodległość. Szczerosc przekonañ i wtedy i obecnie tażsama. Nie pozbyliśmy się honoru, nie poniżyliśmy się odstępstwem od zasady, lecz staliśmy się tylko trzeźwiejszymi i mędrszemi, wyszliśmy z obłędu, pozbyliśmy się części fałszywych pojęć i urojeń. Ztąd wynika, że nie o sumienia chodziło, nie o ich skaptowanie, nie o namydlenie pochyłej deski, po którejby zjechały te sumienia z wysokości idei do kompromisu,

i nawet nie o żaden kompromis, do którego W. był już z natury swój niezdolny, albo chyba o wyprowadzenie ludzi z obłądu przed szkodą, obłądu, któren zniknął niestety tylko po szkodzie w obec trwardej rzeczywistości, lepiej ocenionej przez W., aniżeli przez zapaleńców, rwących się najprostszą drogą do powstania. Wielopolski nie nadał się na propagandystę, wpływającego na rozum ludzi swego wieku. Jego miejsce było u władzy, a władzę mógł on zdobyć, li tylko przez postawienie się oporem ruchowi. Sama nienawiść przeciwników starczyła mu za szczebel do władzy, bo zalecała go rządowi. Do zachowawców, do starszyny, do głównych, wedle pojęć W., przedstawicieli narodu — właścicieli ziemskich, ludzi najbardziej zainteresowanych, aby rzeka nie wezbrała, margrabia nie czuł potrzeby się nachylać i ich dla pomysłów swych kaptować. On sądził, że interes własny, logika i patryotyzm zniewolą tych ludzi, stojących u samych podstaw społeczeństwa i obeznanych ze stosunkami sił, z rzeczywistością, a zatem nie mogących nie wiedzieć o następstwach zalewu, aby program jego przyjęli i do planów jego rękę przyłożyli. W warunkach ówczesnych taką moralną starszyną narodu było Towarzystwo Rolnicze ze swoim komitetem i Andrzejem Zamoyskim na czele. Czas naglił, tętno pulsu społeczeństwa biło goręcej, gotowały się wypadki, w przewidzeniu których niepopularny margrabia przybył 17 lutego 1861 r. do Warszawy ze swoim adresem. Tu rozpoczęło się pierwsze zetknięcie się jego z rzekomem przedstawicielstwem narodu w dyskutowaniu dwu projektów adresu.

Dzisiaj sąd o obu adresach niewątpliwy, ustalony. Projekt, któren wyszedł z pod pióra Edm. Stawiskiego i był przyjęty, nie wytrzyma żadnego porównania z projektem Wielopolskiego. Adres Stawiskiego o nic nie prosił, ni-

czego nie żądał, żalił się tylko na środki repressyjne i objawił nieartykułowanym jękiem dolegliwość niezaspokojonych potrzeb, niebiorąc na się nawet potrzeby te tłumaczyć. Adres ten mógł znaczyć jedno nic, mógł też znaczyć i wszystko, co wymarzy wyobraźnia, nawet te klasyczne „opuścić kraj“ (I, 145), które wyrzekł A. Zamoy-ski na zapytanie Gorczakowa, co robić dla uspokojenia kraju, jednym słowem, ów adres rozważany bez względu na okoliczności i na ludzi, którzy nań się składali, wygląda jak program ks. Bonifata w Anhellim: „a trzecia (partya) miała na swoim czele księdza Bonifata, który chciał zbawić kraj modlitwą, i na ocalenie kraju podawał sposób jedyny: iść i ginąć, nie broniąc się, jak męczennicy.“ — Przepyszny jako protest męczenników rzuconych do rozpalonego pieca, adres ten był częścią frazeologią w ustach ludzi, nie pożądających konać na krzyżu i margrabia miał rację, gdy wyrzekł: „adres ten zaciasny, ja się w nim zmieścić nie mogę.“ Z ludzi obradujących w Namiestnikowskim pałacu, na Krakowskiem Przedmieściu, bardzo niewiele kwalifikowało się na męczenników, może żaden, oprócz jednego idealisty, którego imię raczej niż osoba stało na czele nakształt sztandaru, człowiek nie z tego świata, jak łąza czysty, ale do niczego praktycznego niezdatny, bożyszczce, które na nasze nieszczęście niosła na swoich barkach fala niesłychanej wziętości w opinii publicznej. Towarzystwo Rolnicze lęклиwe i ostrożne, dbało o to, aby bytu swego nie narazić niewłaściwym postępowaniem. Sprawą włościańską na seryo zajęte, nie miało nic wspólnego z agitatorami, gniewało się na ruchy uliczne i było niepopularne na ulicy. — W ostatniej tylko chwili, parte przez opinię, gotowało się do wystósowania adresu opie-szale i zwłóczęc. Ponieważ do téj roboty do rzekomych reprezentantów kraju, obradujących w zwiększonym skła-

dzie Komitetu Towarzystwa z mężami zaufania, Warszawa miała dodać swoje intelligencye, więc ludzie gorętsi postanowili wysadzić z samej Warszawy, pomijając Towarzystwo Rolnicze, delegacyę do ułożenia adresu. Mianowani przez aklamacyę, 26 lutego na zebraniu z kilkudziesięciu osób w hotelu Europejskim, delegaci zebrali się 27 lutego w resursie kupieckiej, ale w tym dniu krew się lała, więc zamiast układania adresu poszli na zamek i tu, podczas gdy Towarzystwo Rolnicze się rozeszło, a A. Zamoyski nic w zamku nie wskórał, ta delegacya śmiałem a energicznym ujęciem się za ludem wymogła na zachwianym i zbitym z tropu Namiestniku te niesłychane ustępstwa: cofnięcie wojska, pogrzeb zabitych, usunięcie Trepowa. Faktem uznania ją, jako rząd uliczny, stała się ona rodzajem komuny warszawskiej. Po wypadkach 27 lutego adres był ze strony Towarzystwa Rolniczego koniecznym. Tężże nocy w zwiększonym składzie Komitetu Towarzystwa pałacu A. Zamoyskiego, na długiej sessyi, na której niepozwolono nawet być obecnym Wielopolskiemu, jego projekt adresu, mimo poparcia Tomasza Potockiego, upadł i nie był nawet przeczytany. Przyjęto drugi, błady, niewyraźny, kryjący pod frazesami ubóstwo myśli politycznej i trwożone wyczekiwanie, aż same przez się rozplączą się wypadki. Adres był z góry obrachowany na to, że nie osiągnie praktycznego skutku. W niemniejszym niż komitet była kłopotcie rzekoma komuna warszawska — Delegacya, uznana i posadzona w ratuszu przez Namiestnika, by utrzymywała jako tako uliczny porządek. Nie czując gruntu pod sobą, Delegacya szukała, o co miałaby się oprzeć, z drugiej strony i Komitet czuł tę samą potrzebę. Nastąpiła atrakcyja pomiędzy dwoma ciałami niby politycznymi, utworzyły się niby dwie izby zawieszane w powietrzu, a pomiędzy nimi Zamoyski,

niby prezydent konstytucyjny, otoczony ludźmi zaufania. Te niby działające osoby, których wielką wadą był wszelki brak inicjatywy, imponowały zrazu rządowi, póki mnożące się manifestacje uliczne nie zdradziły ich niemocy. W składzie agentów rządu rossyjskiego nie było ani jednej głowy, wyjąwszy może starego Pawła Muchanowa, administratora ciężkiej ręki ze szkoły Mikołaja i w gatunku Nowosilcowa, lecz i kredyt Muchanowa był zachwiany przez tryumf ulicy i bezskuteczność środków repressyi. Muchanow, chociaż ze wszystkich stron podkopany, wiedział gdzie węzeł kwestyi i klucz pozycyi i starym trybem wytrawnego biurokraty zalecił okólnikiem 6 (18) marca 1861 r., aby władze wpajały włościanom obowiązek zastrzymywania i dostawiania poduszczających burzycieli (II, 64). Podrażniony Komitet Towarzystwa Rolniczego ogłosił odezwę (20 marca) o zamierzonym uwłaszczeniu (II, 64), a jeden z biskupów kazał z ambony ogłaszać wiernym, że grunta, które mają odstąpić właścicielom włościanom, nadaje ludowi szlachta, a nie król (II, 65). W danej chwili te bezrozumne z obu stron rozporządzenia równały się wstrząśnieniu całego warsztatu rolniczego, podniecie do zaprzestania pańszczyzny, podpaleniu prochów w su terenach, wywołaniem kwestyi socyalnej. Muchanow przerachował się i runął; męża stanu zaufanego w sobie, że go nikt w Warszawie nie zastąpi, złamali w kilka godzin i wyrzucili z Warszawy, zręczny pośrednik między rządem i przywódcami polskiej arystokracji — Enoch i hrabia Kotzebue. — P. Lisicki, a za nim i inni przyznają, że przegrawszy w Towarzystwie Rolniczem i ujrawszy odrzuconym swój programowy adres przez długie lata obmyślany, margrabia opuścił Warszawę 1. marca, nie widząc żadnej drogi do urzeczywistnienia droższej nad życie idei, bo mu jednako były albo obce, albo nieprzyjazne Dele-

gacya i ulica. Komitet rolniczy i A. Zamoyski i rząd, w którym się jeszcze trzymał Muchanow. Z prostego zestawienia dat łatwo się przekonać, że margrabia po odrzuceniu jego projektu, adresu, wcale nie dał za wygrane, że podczas gdy komitet z A. Zamoyskim obmyślali co poczną na wypadek niechybnie odmownej wedle ich oczekiwań odpowiedzi z Petersburga, a chodziły po głowach środki opozycji dość niepraktyczne, jako to: odmówienie massowe płacenia podatków, hurtowe podanie się do dymissyi urzędników w Królestwie, margrabia w sekrecie i na swoją własną rękę uplacował się w zamku i żadnego nie mając poparcia, działając pojedynczo, za pomocą tylko wielkiej energii i logiki, począł swój odrzucony adres rządowi rossyjskiemu imponować, jako nieuchronną i żelazną konieczność.

Wiadomo, że 2 marca Enoch złożył Namiestnikowi swój memoriał, streszczający stan rzeczy w Królestwie (II, 39). W kilka godzin później wyjechał z Warszawy z missyą do Petersburga od Namiestnika Sekretarz Stanu, Karnicki, zgola nic nie wiedząc ani o memoriale, ani o roli przyszłej Wielopolskiego w reformach, nawet punkt wyjścia projektów zaleconych do promowania Karnickiemu był inny, bo wywód ich poczynał się od kusego Statutu Organicznego z 14 lutego 1832 r., podczas gdy Wielopolski cały swój wywód ciągnął od traktatu wiedeńskiego i konstytucyi 1815 roku (*Suum cuique*. Drezno, 1878 roku, u Blochmana — broszura bezimienna pióra Karnickiego). Nazajutrz po podaniu memoriału, to jest 3-go marca, już Enoch poznał Namiestnika z *l'homme d'état par excellence* (I. 76), dając Namiestnikowi List szlachcica polskiego do czytania (I. 172), a 6-go marca już wprowadził margrabiego na zamek. Są w memoriale Enocha ustępy, rzucające jaskrawe światło na jego pochodzenie, na przykład

wyraży, jakby *ad hominem* podyktowane i mieszczące do liczby *les griefs les plus intenses — un mecontentement sourd d'un pays catholique romain de voir un catholique orthodoxe* (Muchanow) *à la tête de l'administration des cultes*. Nikt w rządzie — ani namiestnik, ani ministrowie w Petersburgu nie mogli sobie zdać sprawy ze zmian niezbędnych i z urzędzeń, które postawić trzeba w miejsce wywracającego się systemu panowania. Przed kwestyą o rzeczy szło, jak to zwykle w Rosyi, pytanie o osobie i znalazł się człowiek sytuacji, który podbił Namiestnika prostotą myśli jasných, wyłożonych energicznie i bez restrykcyi. Książę Górczaków całkiem ulegając urokowi, wywieranemu przez margrabiego na każdego, kogo on potrzebował i chciał przekonać, zalecił go gorąco Petersburgowi. Zapewne niepomału zdziwił się Karnicki, któremu się udało łącznie z W. Płatonowym ulepić wedle Statutu Organicznego zblizoną do podstawy, to jest do kraju, Radę Stanu z notablów, podczas gdy sprawę wychowania i uniwersytetu oddano w ręce Rom. Hubego, gdy 23 marca przywiózł Kretkowski do Petersburga nowe projekta margrabiego, oberżnięte i ociosane przez Górczakowa, ale nawet w tem zredukowaniu dążące do utworzenia rządów autonomicznych i prawie konstytucyjnych (dożywotni Senat, Rada walna i t. p.). W ciągu dni czterech przewalowano w Petersburgu projekta dawniejsze z projektami Wielopolskiego (*Suum cuique*); skutkiem téj operacyi były wiadome 8 punktów konCESSYI z d. 27 marca, nie odpowiadające wszystkim życzeniom W., ale o bardzo wiele przechodzące oczekiwania zachowawców, a otrzymane dzięki niepopularnemu i dumnemu człowiekowi, któren mógł się chlubić, że „szlachcic polski, umawiał się jak równy z równym z rządem rossyjskim,“ i że mu dano jeżeli nie wszystko, to niebłahą część tego co zażądał. —

Miał władzę, wykroił sobie sam dowoli obszar działania, całe życie umysłowe kraju ogarniający, bo specjalnie dla niego odnowioną komisyję Wyznań i Oświecenia. W ręce jego niebawem, po 8 kwietnia, przeszła i druga niemniej ważna teka Sprawiedliwości. Wpływ na sprawy, zdobyty przez Wielopolskiego, nierównie dalej sięgał, aniżeli zakres prawnych jego atrybucyj. Można rzec, że już wtedy margrabia nie posiadał spólrzędnych kolegów, chociaż co chwila walczyć musiał z oporem, niechęcią, a może zawiścią tych, których prawo stawiało z nim na równi. Aczkolwiek nie wszystkie jego plany były zatwierdzone, ale on je wszystkie wyłożył, a chociaż ich nie spełniono, dano mu jednak pełne zaufanie, widząc, jakie są jego zamiary, więc upoważniono go spodziewać się, że usunięcie wojskowych sądów wyjątkowych, nowy kodeks karny, sąd najwyższy i nawet sejmowe instytucje, wedle konstytucyi 1815 r., które projektował, dadzą się z czasem urzeczywistnić. W obec obywatelstwa i zachowawców, Wielopolski zjawiał się jako żyjące zaprzeczenie, istniejącej jakoby niemożliwości, pełnić w warunkach podległości rzeczy pozytywne i jako dowód, że struga narodowego poczucia może być kierowaną drogami legalnemi przy właściwem postępowaniu na urodzajne niwy czynu. Mógł się spodziewać, że jeżeli mu od pierwszego razu nie zaufają, to przynajmniej zaczekają aż go ujrzą w robocie, i że przynajmniej przeszkadzać mu nie będą. Reformy w duchu narodowym, władza w ręku Polaka dla ich wykonania i sama skuteczność całego przedsięwzięcia warunkowały się utrzymaniem legalnego stanu i porządku jakimikolwiek bądź środkami, nawet kulami i bagnetem. Dla Polaka w XIX. wieku, nieposiadającego własnych bagnetów, jest ta konieczność podwójnie wstrętą, bo bagnet jest cudzy a krew płynąca swoja własna. Kto je-

dnak założył sobie cel pewien jako dobro, musi i środki odpowiednie a niezbędne akceptować, tak, jak je zaakceptował margrabia w krwawym dniu 8 kwietnia i w późniejszych wypadkach, bez wahania się i obłudy, bez żadnych wyrzutów sumienia. Wielopolski sam sobie wytknął w tym względzie sposób postępowania prosty i jasny, porządku nie ocalał on własnymi rękami, do sądów wojskowych się nie miewał, nawet polityczną policją nie zarządzał, ale dał się spełnić krwawemu starciu się dla ocalenia publicznego porządku i ocalony w stósowne prawa uzbrajał, jak na przykład w prawa o zbiegowiskach. Między nim a repressją istniała solidarność świadoma, nie czynna, ale idealna, na poczuciu obowiązku oparta. Wielopolski narażał się świadomie na wszystkie ciosy rewolucyi, biorąc na się całkowitą odpowiedzialność ze repressyę i stawiając sobie za punkt honoru obronić dla rządu władzę przez rząd w ręce jego powierzoną; słowem działał zupełnie zgodnie z wiekopomnymi i pięknymi wyrazami, które mu podyktowało głębokie uczucie 5-go lipca 1861 r., po zamachu na Wielkiego Księcia Konstantego: „ciosy mordercze, jeżeliby jeszcze paść miały, pragnę raczój, aby przeciwko moim piersiom się obróciły, niżeli żebym przeżył na téj ziemi cnoty ojców naszych i cześć imienia polskiego.“ Taki był sposób wejścia Wielopolskiego do władzy, którą stracił 28 października 1861 podając się do dymissyi i którą powtórnie odzyskał w Petersburgu, będąc mianowany Naczelnikiem rządu cywilnego w Królestwie. Obejrzymy jego tryb postępowania w obu tych aktach wielkiego dramatu.

## X.



memoryale Enocha (II, 39), któremu broszura *Suum cuique* zarzuca gorącość wysłowienia (zauważmy, że styl Wielopolskiego odznaczał się zawsze tą samą dosadną jaskrawością kolorytu), stan społeczeństwa w 1861 r. odrysowany był w tych dobitnych wyrazach: „nie trzeba się łudzić, mogące być wprowadzonymi najrozleglejsze reformy nigdy nie zadowolnią mas, bo massy chcą bezwzględnej *niepodległości*. Z téj strony niema nic do zrobienia. Pozostaje partya liczebnie szczupła, ale wpływowa przez społeczne swe stanowisko, przez majątek, przez wyższe wykształcenie: właściciele ziemscy, urzędnicy, w ogóle dostatniejsze klasy ludności. Niema nadziei ich *całkowitego* zaspokojenia, ani ich przywiązania, ponieważ w gruncie (*dans leurs voeux intimes*) są one z massami zajędo. Z drugiey strony czują one co tracą w gwałtownym przewrocie, pojmują, że zostaną prześcignione, że są już teraz prześcignione. Rzucą się w wir ruchu tylko po straceniu nadziei polepszenia. Moźnaby mądrymi reformami zapobiedz sprzymierzeniu się tych klas z ruchem, prowadzonym przez zapaleńców. Dla do-

pięcia tego celu reformy wystarczą, nawet nie bardzo rozległe.“ Ten ustęp dowodzi pełnej świadomości o wadach położenia i trudnościach zadania, trudneż bo to było położenie zmuszać prawie gwałtem do ocalania się ludzi, którzy porywani sercem lecą z rozkoszą w otchłań samobójstwa. W swych *Dziejach* (porozbiorowej) *Polski* (Cz. III., str. 214). hrabia *F. Skarbek* nie waha się utrzymywać, że „koncesye zanadto wczesnie udzielonemi zostały, bo przedewszystkiem wypadało przytłumić zawichrzenia i przywrócić spokojność w kraju, a dopiero przystąpić do radykalnej reorganizacji takowego.“ Ten doktrynerski sąd *post factum* nie wytrzyma krytyki. Rząd wcale nie dla tego uspokajał kraj, aby dać ulgi i swobody, ale czynił koncesyje aby kraj uspokoić. Gdyby już uspokoił i niczego się nie obawiał, wykwitowałby się ustaniem naglącej potrzeby ustępstw i odprawiłby z niczem takiego niedogodnego, takiego imponującego konsyliarza i pomocnika, jakim był Wielopolski. Ażaliż statut Organiczny z 1832 r. albo list z Liwadii z d. 12 kwietnia 1863 r. (II., 452), nie są wymownemi świadkami, że reformy uchodzą z myśli i zacierają się w pamięci, a nawet, że się odsuwają jako natrętna zmora, skoro nie nagli potrzeba, a gdy nagli potrzeba, już te, które się dają, okazują się całkiem niewystarczającemi, więc, że jesteśmy jakby skazani kręcić się w błędnem kole, jak w młynku wiewiórka. Krytyka hr. Skarbka należy do liczby tych rad Buchmanowych, o których mowa w Panu Tadeuszu. Wielopolski musiał sypać tamy, jak robią Holendrzy, zanim uspokoiło się morze, i w obec bijących bałwanów musiał wprowadzać reformy natychmiast, nie mógł odkładać wyborów do rad miejskich, powiatowych i gubernialnych, chociaż rewolucyjne powiewy wiatru co chwila psuły robotę i truły duch publiczny. Margrabia musiał co chwila na-

woływać robotników, aby sypali tamy, podczas gdy ci ostatni woleli lubować się grą światła w bałwanach i błyskawic w chmurach, a miał do czynienia prawie wyłącznie z nierozplątanymi w sobie *pólludźmi*, albo bez rozumu, albo bez odwagi, albo bez obojga, z pokoleniem wyrosłem w bezczynności niewoli, a rozmarzonym i miękkim jak puch, wychowanym tylko na estetyce, wykarminowanym rosą i pyłkami poezji. Połowiczność tych ludzi, zahartowanych tylko przeciwko tyranii władzy, ale gnających się jak trzciny za powiewem popularności i padających na twarz przed tą mistyczną siłą, jak przed boskimi wyrokami, wchodziła w rachuby margrabiego i była przewidziana jako okoliczność utrudniająca zadanie. Do wad trudnego położenia dokładały się, komplikując zadanie, wady wykonania, niewłaściwe postępowanie tak jawnie nietrafne, że bronić go nie potrzebujemy, jak nie broni go i przyznaje nawet p. Lisicki. Jest w człowieku coś mocniejszego nad twardą wolę — jego natura, jego temperament. Margrabia już od natury był taki sękaty, giąć się nie umiał, schlebiać nie raczył, przekonywać nie czuł potrzeby, skoro mógł wymagać, czy to w imię władzy, czy w imię jasno biegiem rzeczy wytkniętego interesu. Jako człowiek stanowczy i lubiący władzę, margrabia musiał czuć naturalny pociąg do tej maszyny, która daje prędko i sprawnie ilość roboty, jakiej nigdy stosunkowo w tychże warunkach i w tymże czasie nie dostarczyłoby obradowanie. Nie możemy żadną miarą zgodzić się z charakterystyką ogółu klasy urzędniczej, którą podaje p. Lisicki (I., 180), w następujących słowach: „tak powstała klasa biurokratyczna, szlachcie niechętna, rządowi wierna, o ile interes jej tego wymagał, na dobro kraju obojętna i pozbawiona uczucia obowiązku.“ Przy chwiejności szlachty na tej klasie tylko mógł się oprzeć mar-

grabia i ku jój chlubie trzeba przyznać, że z niej wyszli wszyscy co najczynniejsi współpracownicy Wielopolskiego. Z krzywdą większej ich części byłoby twierdzenie, jakoby ojczyzna i poczucie obowiązku były dla nich dalszemi i bardziej obcemi aniżeli dla kogokolwiekbądź z tój szlacheckiej starszyny, która w pojęciach samego W. uchodziła za czoło narodu. W ogóle W. znalazł daleko lepszy grunt i poparcie dla swoich planów, tam gdzie go najmniej szukał, to jest w stanie średnim, aniżeli w stanie szlacheckim, a wszystko co się ostało po wielkiej burzy z jego reform, poszło na korzyść głównie li tylko stanowi średniemu. Wielopolski posiadał wszystkie warunki potemu, aby zostać sprężystym i doskonałym administratorem, ale dorwawszy się na schyłku lat po raz pierwszy do władzy, bawił się nieraz machiną biurokratyczną jak cackiem i bywał pedantycznie drobiazgowym w szczegółach, gdy zaledwie czasu starczyło na ogarnięcie całości. W toku wielkiej walki politycznej obudzały się w nim popędy dyalektyka, dziennikarza, procesowicza, i wielki człowiek poniżał się do drobnych repressalij, albo miewał koncepta prawie humorystyczne. Do tój massy skrzętnie ponotowanych w swoim czasie wybryków złego humoru należą: czepianie się do dzienników, prześladowanie Wojcickiego za podejrzwane korrespondowanie do Czasu, przepisy policyjne, cyrkularz o tak zwanych rurach czyli cylindrowych kapeluszach, współpracownictwo z Mini-szewskim w Dzienniku Powszechnym, sądowe śledztwo o sztachety w Kaźmirowskim ogrodzie przeciwko uczniakom, którzy niechcąc znieść ogrodu w ogrodzie, jak margrabia nie chciał znieść rządu w rządzie, porozrzucali wapno, drzewo, kamienie i poszturchali mularzy. Weźmy te wszystkie wybryki i fantazyje do jednej kupy, i przyznając ich całkowitą niewłaściwość, zapytajmy, czy zna-

cznie mogą zaważyć na szali dziejowych wypadków? Zapewne wielu przykrości uniknąłby Wielopolski, gdyby miał dobroduszną giętkość, ironię i rozbajający dowcip Cavoura, lecz czyliż opryskliwość i o wiele nieprzyzwoitsze niedźwiedzie koncepta Bismarcka stanęły choć na jedną chwilę na zawadzie przy wykonaniu trudnej sprawy zjednoczenia Niemiec? Są to nieprzyjemne przymioty, niby guzy i brodawki na charakterze, ale przytomność ich w obec innych warunków, równie mało może przeszkadzać do dojścia dziejowego przedsięwzięcia, jak mało przeszkadzają pasma gór do przyjęcia za pewnik kulistości naszego planety. By dowieść tego założenia, zastanówmy się nad dwoma najbardziej i najsłuszniej ganiionymi krokami Wielopolskiego: rozwiązaniem Rolniczego Towarzystwa i przemową do duchowieństwa.

Hybrydne z różnych pierwiastków złożone ciało, „olbrzymi chaotyczny utwór zmieszanych żywiołów rolniczego i prawodawczo-politycznego,“ było Towarzystwo Rolnicze przeznaczone do „rozwiązania przez rozdział żywiołów“ (II., 91). Rzekoma reprezentacja kraju, a raczej jój surogat, pełniący czasowo tę funkcję, zanim utworzono dla reprezentacyi stosowniejsze naczynia, było Towarzystwo nieodzownie skazane na rozwiązanie, a osoby, które w niem działały, powinny były się przenieść z całkiem nieudatnej lepianki, w której się gnieździły z konieczności przed reformą, do dogodniejszych na podziale pracy i funkcyj osnutych, do komisjów rolniczych dla rolnictwa, do rad powiatowych, gubernialnych i Rady stanu, w ręce których przejść miała sprawa włościańska. Jeszcze w 1859 r. margrabia wnosił przez syna swego Zygmunta do Towarzystwa Rolniczego o uznanie się Towarzystwa niewłaściwie powołanem do kwestyi włościańskiej i o żądanie polecenia téj sprawy stanom prowincjonalnym, wedle Sta-

tutu Organicznego (Dom. spr. 69). Rozwiązanie Towarzystwa Rolniczego było w liczbie punktów w marcu ks. Gorczakowowi podanych i w Petersburgu aprobowanych; do poprzednich pobudek przybyło w końcu marca 1861 r. wydanie przez Towarzystwo okólnika do włościan. Konieczność logiczna rozwiązania Towarzystwa była tak wielką, że przeciwko motywom tego kroku (II., 91) nic nie da się zarzucić. Chodziło tylko o to, czy dokonać to rozwiązanie wnet, i że tak rzekę obcesowo, czy raczej obejść Towarzystwo, z gruntu W. nieprzyjazne i mające na czele osobę, z którą niepodobna było dojść do porozumienia. Sprawy włościańskiej nie można było zostawić w rękę Towarzystwa, po okólniku jego z 20-go marca, lecz z rozwiązaniem można było zwłóczyć parę miesięcy, ażby to niepowrotne i lęklive ciało, dość niepopularne na ulicy przed adresem, nie bardzo popularne nawet po adresie, zdyskredytowało się samo, boby się na czoło ruchu nie wysunęło, a wróciłoby chyba do swych zwyczajnych zajęć, do pszenicy i buraków. Pospiech margrabiego nie da się tłumaczyć tem nawet, że margrabia wybadał poprzednio wszystkich, albo prawie wszystkich członków komitetu, i przekonał się, że wszyscy myślą tak samo jak on, a przyrzekł im, że wejdą do Rady stanu; wszakże powinien był przewidzieć z jakimi miał on do czynienia „półludźmi“ i obliczyć, że w burzliwych chwilach, podobnych do przeżywaney przez Polskę w r. 1861, inaczej może sądzić kaźden pojedynczo wzięty, a inaczej i może wręcz przeciwnie będą stanowić wszyscy razem wzięci. Gdyby nie zamknięcie Towarzystwa 6-go kwietnia, ruch uliczny nie użyłby Towarzystwo za nabój, a Andrzeja Zamoyskiego za sztandar, nie byłoby słów wyrzeczonych przez byłego prezesa Towarzystwa: „mieliśmy pięć ofiar, nasze Towarzystwo jest szó-

stą“ (*Epsilon*, Żywot i czyny Wielopolskiego. Poznań 1879, str. 28), nie byłoby starcia się 8 kwietnia, nie podejmowałby margrabia teki sprawiedliwości z okrwawionego bruku, byłby mniej unikany, mniej miany za zapowietrzonego i wyklętego. — Jednakże te różnice maluczką zaledwo zmianę wprowadziłyby do sytuacji, starcie się uliczne było niechybne, doczekałoby się tylko innego pretekstu. Margrabia nie mógł nie przewidywać, że stanie się to zło konieczne, bo nie może być, aby „porządek był u samowolności, płochości i nieładu na łaskawym chlebie“ (Przemowa w Komm. Spraw. 10 kwietnia 1861, II, 88). Nie całe Towarzystwo Rolnicze stroniło od margrabiego, dowodem tego służył świetny skład doradczego komitetu włościańskiego przy Komm. Spr. Wew. Przy pomocy tego komitetu doszło prawo o okupie pańszczyzny z d. 4 maja 1861 r. w duchu obywatelskim, protesta przeciwko któremu urzędników szkoły Muchanowa oparły się aż o Petersburg, ale okazały się nieskutecznymi. Samemu prawu o zbiegowiskach z dn. 8 kwietnia przywodzi myśl patryotyczna: sądzić się z rewolucją legalnie i karać winnych na miejscu z uchyleniem groźnego zesłania do Rosyi i Syberyi. Szerokie i wspaniałe plany organizacji wychowania publicznego nie były tajne, wprowadzona część karna ustawy gminnej, dziurawiła na wskroś nienawistny kodeks kar głównych i poprawczych z 1847 r. i robiła w nim takie wyłomy, że utrzymanie nadal tego kodeksu można było uważać za niepodobieństwo. Równouprawnienie żydów było już zapowiedziane i posuwało się zwolna naprzód. Pochłonięty temi robotami nie mógł Wielopolski, zwłaszcza po śmierci ks. Gorczakowa (30-go maja), która była wielkiem dla niego nieszczęściem, wpływać w należyty sposób na pierwiastkowe uorganizowanie się autonomicznych wyborowych instytucyi, ani na nomi-

nacye do Rady Stanu. Ogrom dokonanych albo dokonywających się czynności mógł służyć za rękojmię u trzech patryotów, a w obec téj rękojmi okoliczność rozwiązania Towarzystwa malała i nikła, tak, że ją można było nie rachować.

Ważniejsze ma znaczenie ostre postawienie się margrabiego względem rzymsko-katolickiego duchowieństwa, w przemowie jego mianej 2 kwietnia, z której te bierzemy słowa: „Kościołowi katolickiemu należy się szczególna moja względność, gdy wiara katolicka jest także moją wiarą. Lecz tę życzliwość utrzymam na wodzy. Jestem dyrektorem władzy opiekującej się wyznaniem w połączeniu z oświeceniem; nie zboczę z toru tolerancyi — jednego z wielkich nabytków wieku. Jestem członkiem rządu; nigdzie, a tem bardziej w moim zakresie, rządów żadnych w rządzie nie uznaję.“ Rozbierzmy te słowa, które p. Tarnowski porównywa do Hamletowego pchnięcia szpadą w kotarę, za którą spodziewał się trafić w króla, a zabił Poloniusza. Wedle p. Tarnowskiego, margrabia godził w Towarzystwo Rolnicze, a trafił w duchowieństwo, które niesłusznie do krwi ubódł i które rzucił w objęcia rewolucyi, chociaż to duchowieństwo jeszcze się wtedy „do polityki wciągnąć i nadużyć nie dało“ (Prz. pol. list. 1879, str. 184). Godzimy się zupełnie na jedno z p. Tarnowskim: jeżeli demonstracye kościelne już groziły jako niebezpieczeństwo, należało im zapobiedz i zło uprzędzić w poufnej rozmowie z biskupami, a nie w publicznej reprimendzie, która zamiast upamiętać, mogła tylko upokorzyć i duchowieństwo względem margrabiego najgorzej usposobić. Na tę drażniącą cechę przemowy kładł szczególniejszy nacisk arcybiskup Fijałkowski w odezwie z dnia 10 maja 1861 r. Nr. 1052 (II., 95) w słowach: „*Krzywda* byłaby znośniejszą, gdyby przemowa ta w pismach pu-

blicznych nie była ogłoszoną. Margrabia się uniósł, zgrzeszył zbytkiem otwartości, chęcią od razu wyłożyć swój program. Wszakże gdy mowa o tem, czy już było w tej chwili duchowieństwo w politykę wplątane, wątpię, czy można rzecz tę w najmniejszą podawać wątpliwość, zwłaszcza w obec tak cytowanej przez nas odezwy Fijałkowskiego, jako i przyjętego przezeń zbiorowego podania od duchowieństwa (II., 95—97), w którym przemowa W. nazwana „groźną dla kościoła, poniżającą dla duchowieństwa.“ Przekręcając sens słowa „tolerancya,“ którem Wielopolski cechował działalność swoją, jako dyrektora Oświecenia w obec wyznań, Arcybiskup upominał go, że religia katolicka nie należy do *tolerowanych*, bo jest *panującą* i strofował „poddanego, który sam będąc katolikiem, śmie mówić o tolerancyi, co może tylko monarcha“ (?). Ruch powstańczy z lat 1861—1863 miał w Polsce od początku charakter religijno-polityczny, co mu nadawało podniosłość, czyniło go niezmiernie trudnym do stłumienia, ale i niesłychanie szkodliwym w następstwach, w skutek nadużycia i sprofanowania religijności. Protestowano modlitwą, porykano się śpiewem, manifestacje rozpoczynały po kościołach kobiety i dzieci, później dopiero gorączka ogarniała ludzi dojrzałych i statecznych. Duchowieństwo polsko-katolickie, uciskane za czasów Mikołaja bez przerwy, przez co rząd sam powiększał moc historycznego związku, łączącego starą broniącą się religię z pogrobowcem świętego rodu i domu — narodowością, znalazło się w obec ruchu w niesłychanie trudnem położeniu. Całe życie przywykli krzesać z trudem z serc twardych ogień wiary, a z serc polskich udawało się go krzesać głównie za pomocą patryotyzmu, księża stali obecnie przed ognistym płomieniem, niewiadomo przez kogo podnieconym, od którego odbiedz nie mogli, bo go pilnować musieli z urzędu,

gasić nie mogli, boby ich odbieżano i potępiono na zasadzie ich własnych dawniejszych słów i czynów, więc musieli samo rozpalenie się tego ognia kłaść na rachunek Opatrzności i błogosławić, a dźwigać sztandary powstania (venit iudicium!). Nigdzie w nowszych czasach, mimo duch kosmopolityczny rzymskiego kościoła, duchowieństwo, zwłaszcza niższe, z ludem żyjące i cierpiące, co stanowi jego moc i chlubę, nie oparło się pokusie należenia do narodowych i nawet rewolucyjnych ruchów (księża byli nawet w obozie Garybaldego). Z tem duchowieństwem nie miał Wielopolski do czynienia bezpośrednio, mógł tylko wpływać na niego pośrednio przez Rzym lub przez Biskupów. Odezwa jego z dnia 2 kwietnia wystósowana była do téj starszizny, zwyczajnie bardzo wytrawnej, mądrej, cierpliwój. Nie mogła nie wiedzieć ta starszizna, że wszędzie, gdzie miał miejsce nienaturalny sojusz rewolucyi z religią, zwłaszcza w naszej europejskiej cywilizacji, osnutój na podziale władz duchownój i świeckiej, takie związki bywały zgubne i dla religii, bo z wielu rewolucyj bardzo mała ich liczba dochodziła do celu, a po pokonaniu trzeba było cierpieć represalie, tracić od razu rzeczy nabyte wysileniami wielu pokoleń i wieków; i dla społeczeństwa świeckiego, bo każde zdobyte przy pomocy duchownój władzy zwycięztwo wymagało znacznego w późniejszym czasie okupu. Wielopolski przychodził do duchowieństwa z próżnemi rękami. Komissya Wyznań i Oświecenia już wyzwalała sprawy kościelne z komissyi Spraw Wewnętrznych, to jest z policyi; w niej się jednoczyły spólrzędnie wyznanie rzymsko-katolickie z obrządkiem unickim; Biskupi wchodzili wedle propozycji W. do Rady Stanu; projektowaną była Rada Duchowna; cały szereg ważnych ulg, aż do mieszanych małżeństw, otwierał się w kierunku równouprawnienia

wyznań, a równość praw jest jedynym gruntem, na którym może się oprzeć skutecznie kościół rzymsko-katolicki w państwie rossyjskiem w obec strasznej politycznej przewagi panującego kościoła grecko-rossyjskiego. Katolik wyniesiony na urząd ministra Wyznań, nie mógł Wielopolski nie zaznaczyć, że nie zawiedzie zaufania rządu i nie wyda ani jednej z rządowych atrybucyj w rzeczy wyznań, że nie da się wtrącać władzy duchownej w rzeczy polityczne, a jako minister Oświecenia wyraził też otwarcie, że chociaż katolik, utrzyma on, jako oświecony człowiek XIX. wieku, wolność myśli i wykładu w szkole i bezwyznanowość nauki. Przyznajemy chętnie, że lepiejby było te same zasady urzeczywistniać czynami wprzód, nim formułować je w mowach, wszakże żadna naprawa w kościele nie mogła dojść do skutku już w początkach 1861 roku *przez to*, że ksiądz nie był gospodarzem w kościele i że strumień powstańczy płynął z ulicy pełnem korytem przez kościół, więc nawet bez przemowy Wielopolskiego pierwsze przyaresztowanie księdza, którenby z ambony zachęcał do powstania, pierwsze zapobieżenie manifestacji religijno-ulicznej mogło doprowadzić do starcia się władz duchownej ze świecką i zamknięcia kościołów przez duchowieństwo. W obec tej sytuacji maleje znaczenie przemowy z dnia 2 kwietnia, owszém burza, jaką te słowa wywołały, dowodzi, że duchowna hierarchia w Królestwie, od niższych stopni aż do najwyższych, była w stanie gorączki zapalnej, była przez ruch powstańczy porwaną i opanowaną.

---

## XI.



ola margrabiego, od chwili wstąpienia jego do rządu, polegała na dwóch przypuszczeniach czy warunkach, *po pierwsze*, że rząd go użyje do skierowania ruchu w legalne koryto i da po temu pełną swobodę do działania, *powtórze*, że go podtrzymają zachowawcze żywioły społeczeństwa. Ostatnie przypuszczenie prawie się nie sprawdziło, albo przynajmniej sprawdzało się w stopniu daleko niższym, aniżeli było oczekiwane, lecz i pierwsze się zachwiało po śmierci Gorczakowa, gdy zmieniający się namiestnicy: Suchozanet, hrabia Lambert, znowu Suchozanet, psuli co chwila roboty Wielopolskiego. Od lipca 1861 r. Wielopolski nosił podanie o dymisję w kieszeni i co chwila walczyć musiał z intrygą, z ludźmi starzej biurokratycznej rutyny, którym obywatelska i autonomiczna Polska była wstrętną. Ciągłe starcia się z wojskową władzą, wdzierającą się w atrybucye władz cywilnych, administracyjnych i sądowych, przeszły nakoniec miarę, wyczerpały cierpliwość. Wielopolski podał się do dymisji, nie chcąc i nie mogąc zostać pod stanem obłączenia z Suchozanetem (I., 260). — Mąż

stanu, średniego kalibru, skorzystałby niezawodnie z tej chwili, by wyjść zaszczytnie i z czystym sumieniem z rozpaczliwego położenia i zamknąć zawód polityczny w dobrych chęciach poczęty, ale przechodzący zwykle ludzkie siły. Odejście dobrowolne z areny, motywowane działaniem Namiestnika, naprzekór programowi Wielopolskiego naprawiłoby reputację tego ostatniego w oczach wielu, w każdym razie łagodziłoby niepopularność, przenosiłoby go ze spisu prześladowców do katalogu umęczonych. Można było spuścić się na to, że w niedalekiej przyszłości ludzie się poznają na Wielopolskim, oddadzą słusność i ocenią plany działania i cele. Oddawszy „pół duszy“ ojczyźnie a drugie pół zachowawszy dla szczęścia, mógł on stanąć na uboczu, jako widz wypadków, okrywający się płaszczem swoich dobrych zamiarów i pozujący na zapoznaną wielkość, albo nawet wyczekujący, by po przejściu kataklizmu i po ruinie najpiękniejszych nadziei zacząć znowu robotę, ale drobną, która nam dzisiaj przypadła w udziale, tak drobną, że zastanawiając się nad nią, przychodzi nieraz na myśl porównanie do snucia tkanek pajęczych albo do lepienia jaskółczych gniazdek, wśród wywróconych w trzęsieniu ziemi olbrzymich murów i kolumn. Od chwili, w którejby każdy średniej wielkości człowiek swój zawód skończył i zlikwidował, zaczyna się okres w życiu Wielopolskiego najjaskrawszy, niezważniejszy, dający pełną miarę moralnej jego wielkości, od wyjazdu do Petersburga w listopadzie 1861 r., aż do opuszczenia Warszawy w lipcu 1863 r. — Wielki poeta może tylko umrzeć od aneuryzmu, płacząc, że po bitwie zostało jeszcze „pół rycerzy żywych“ i zazdroszcząc tym, co szli umrzeć w wąwozie Termopylskim; jego śmierć dowodziłaby tylko, że miał wzniosłe myśli i czułe serce. On sam to czuje, że pod pewnym względem nie dorówna prostemu szeregowcowi z nieśmier-

telnego batalionu, który zasiadł u mnie w Termopylach, albo z téj armii, która stawała do nierównego boju pod Maratonem. Podanie się margrabiego do dymissyi było nie znakiem wyczerpania się sił, ale czasową przerwą dla nabrania tchu i mocniejszy, wspanialszy niż przedtem, pozbywszy się wszelkich względów osobistych, stanął on po chwili na zwiększającym się wyłomie w obec rewolucyi w nowem i udoskonalonem uzbrojeniu, by dać najwyższe świadectwo o prawdzie, by osobę swą i życie poświęcić w potrzebie. W danych okolicznościach brać się za przedsięwzięcie znaczyło daleko więcej, aniżeli przywozić bitwie, stojąc gdzieś zdaleka na wzgórzu, dokąd zaledwo kula doleci, a równało się to prowadzeniu ataku zwartą kolumną, wprost pod ogniem kartaczowym, nieubłaganych nieprzyjaciół, działać z większem prawdopodobieństwem śmierci, aniżeli ocalenia. Tragedya ciągnie się dalej, te same osoby pozostają na scenie, nie dwie, jak chce p. Tarnowski, ale trzy: rewolucya, Wielopolski i obywatęstwo, jako suma żywiołów zachowawczych, na których ma Wielopolski nadzieję się oprzeć. Interes akcji podnosi się do najwyższego stopnia, bo działanie każdego z trzech czynników, w skutek samego procesu walki, rozwija się, wytęża i dosięga niesłychanego spotęgowania, poczem następuje nieunikniona, fatalna katastrofa, giną wszyscy; po nad trupami staje, jak Fortinbras, w ostatniej scenie Hamleta, czwarta osoba — rząd obcy, nieprzyjacielski, którego nadejście i przewaga wywięzywały się i w tragedyi i w dziejach z własnych win bohaterów, z wewnętrznych przyczyn upadku i zgnilizny: i w 1772, i w 1793, i w 1831, i w 1863 roku, klęska zewnątrz przychodząca własnymi czynami była nie tylko spowodowana, ale i przyspieszona, poczem pozostaje już tylko spuścić zasłonę i brać się do grzebania zalegających scenę trupów. Nim doj-

dziemy w tej tragedji do epilogu, w którym nie Wielopolski, ale chyba obywatelstwo z p. Andrzejem Zamoy skim, grają smętną rolę Hamleta, nie budząc jednak tych, co księżę duński sympatj, dopełnijmy kilku rysami obraz katastrofy, która już całkiem się dokonała w jesieni 1862 r. na dobre przed branką i przed wybuchem powstania.

Kulminacyjnym punktem w całym życiu margrabiego był niezawodnie dwukrotny pobyt w Petersburgu (od 7 listopada 1861 do 11 czerwca 1862 z przerwą od 24 marca do 7 kwietnia 1862 r.), chwila, kiedy on wystrzelił, jak raca, po nad ciasną sferą miejscowych stosunków Królestwa Polskiego i zabłysnął na widowni europejskiej, to jest gdy sprawa polska zaważyła znowu na szali ogólnodziejowych wypadków i w polityce gabinetów. Nieobrachowane są skutki, któreby wywarła autonomia w Królestwie z odpowiedniami gotowemi już ustępstwami dla polskiego pierwiastku w litewskich i ruskich ziemiach dawniej Polski, rozwijająca się w związku z ruchem liberalnych reform we wnętrzu Cesarstwa. Całkiem odmiennym byłby ustrój wewnętrznych stosunków, odmienną byłby musiała i zewnętrzna polityka, polskie sympatyje względem Francji i konstytucyjnej Austrii oddziaływałyby na Rossyę. Nie śmiemy twierdzić, iżby nie było Sadowy i Sedanu, wszakże przynajmniej Prusy nie mogłyby mieć tej swobody działania i ruchów, która umożliwiła oblężenie Paryża i pokój wersalski, a i najnowsza wojna wschodnia, gdyby doszła do skutku, odbyłaby się bez przeważających w niej cech moskiewskiego słowianofilstwa, które wybujało po rozbudzeniu się w 1863 r. narodowych namiętności i przez zdeptanie polskiego powstania. Pozycya margrabiego do żadnej innej w dziejach nie da się porównać. Przed ustrojony z bizancka złoty tron autokraty

przychodził i stawał człowiek prywatny, prosty poddany, nie mający za sobą nic, oprócz niezaprzeczonej reputacji wielkiego rozumu i jeszcze większej odwagi, co gorsza, otoczony niepraktykowaną dotąd w kraju, gdzie miał rządzić, niepopularnością. Człowiek ten nie posiadał słodkiej mowy, słów jedwabnych, nie był wcale dworakiem, nie mógł się pochwalić dobrym skutkiem i powodzeniem żadnego z nadanych już za jego wstawieniem się ustępstw, a żądał, aby mu dano jeszcze we dwójnasób więcej, to jest, aby posunięto jak najdalej srodze podejrzaną w samowładnem państwie autonomię, aż do najdalszych prawie granic, do jakich dojść może odrębność prowincyi, nie pociągając za sobą odpadnięcia jój od całości. Wielopolski składał te żądania rządowi w obec rosyjskiego społeczeństwa, które świeżo od lat dopiero kilku do myślenia i mówienia o rzeczach publicznych dopuszczone, mogło spojrzeć zazdrosnem okiem na wszelkie używanie swobód i wszelkie sejmowanie, od których samo było wyłączone. Wiedzieli wszyscy, że margrabia jest szczerem i działa otwarcie, że nie jest Walenrodem, że spalił swoje okręta i że głową nałoży w razie niepowodzenia. Trafia on w dobrą chwilę łatwego jeszcze usposobienia w społeczeństwie rosyjskiem do szerokiego działania, do rozwiązywania wielkich kwestyi wielkimi sposobami. Wskazywał on na niesporną, uznaną, wielką i zadawnioną krzywdę historyczną względem polskiej narodowości, na przyrzeczenia Aleksandra I, na obietnice nawet samego Mikołaja po 1831 r., niespełnione dotychczas, „protestował te polityczne weksle“ (*Epsilon*, Żyw. i czyny W., str. 58). Moment, nie mający się już może nigdy w tak dobrych warunkach powtórzyć, był tak szczęśliwy, że Wielopolski posiadał bez wielkiej trudności i prawie bez targu wszystko czego tylko zażądał, że przyobiecano mu ustępstwa

uważane w Rosyi za najtrudniejsze, bo religijne (zmiana prawa o mieszanych małżeństwach), że dano mu Arcybiskupa, — patryotę, którego on zalecił, że powierzono mu całą władzę cywilną i na domiar uosobienie samorządu — przeniesienie do Warszawy woli decydującej, najważniejsze kwestye i z własnego interesu w skutek przyjęcia urzędu najlepiej względem Polaków usposobionej — brata Cesarskiego, W. Księcia Konstantego. Wielopolski otrzymał wszystko co mógł wziąć i przytém bez żadnych niedomówień i restrykcyi. Samby on swe plany w niewecz obrócił w Petersburgu przed rządem i przed rosyjskiem towarzystwem, gdyby w żądaniach swoich wyszedł po za obręb Królestwa Polskiego, gdyby zaczął traktować w imieniu Litwy i Rusi. Byłoby takie działanie niepolitycznem, niedorzecznem. Znaczyłoby to wzniecać rzecz drugą trudniejszą, nie załatwiwszy pierwszej, podnosić rzecz mocno sporną, odbiegając od niespornej, i dobre usposobienie całej intelligencyi rosyjskiej, bez różnicy partyj, zamieniać na najgorsze, bo z punktu widzenia i wedle tradycyi narodu rosyjskiego, w tak zwanym przez Rossyan kraju, względem nich, zachodnim, zwierzchnia warstwa kulturalna polska zalega na niepolskim podkładzie. Bywały przykłady folgowania polskiemu pierwiastkowi w tych ziemiach, ale sama myśl o aneksyi ich przez rząd do Królestwa uchodziłaby w 1862 r., przy mocniej rozbudzonem narodowem poczuciu rosyjskiem, za zdradę rządu przeciwko swemu narodowi.

Podczas, gdy Wielopolski robił znaczne postępy w Petersburgu, wzmagał się stan zapalny polskiego społeczeństwa, ukazywały się objawy coraz większego w niem rozkładu. Demonstracyjne ruchy uliczne, poczęte bez dyrekcyi, przy powtarzaniu się, wytwarzają organizacyą. Po 8 kwietnia poczęły się formować dziesiątki; w maju 1862

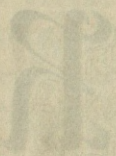
r., już istniał Komitet Centralny Narodowy (*A. Wielopolski*, przez A. G., str. 88). We wszelkiej rewolucyjnej organizacji, zawsze prym bierze partya, nie liczba większa, ale gwałtowna, każdą gwałtowną partyę opędza i wyprzedza jeszcze gwałtowniejsza, działająca na swoją rękę bez zgody i wiadomości przełożonych, uciekająca się wprost do rewolweru i sztyletu, aby uniemożliwić i zniweczyć wszelkie skonsolidowanie się stosunków, wszelkie działanie prawne, pojednawcze. Każden ruch rewolucyjny na większą skalę ma to do siebie, że zmusza w końcu ludzi porządku, mimo ich woli, a czasem nawet mimo ich wiedzy, do wzięcia udziału w agitacji przez przechylenie się albo do rewolucyi, albo do repressyi i do zbliżenia w ten sposób rozwiązania, które jest ostatecznym wyjściem z nieznośnego stanu. Organizowanie się czerwonych zniewoliło umiarkowańszych do wytworzenia organizacji białych, ta dyrekcyja umiarkowanych dała się hallować przez komitet centralny, a komitet był co chwila forsowany przez wściekłych zapaleńców, knujących zabójcze zamachy. Bezładnością, brakiem charakteru i cywilnej odwagi grzeszyli i przedtem umiarkowani, te ujemne przymioty posunęły się tylko o jeden stopień wyżej, gdy po przewróceniu wszelkich stosunków pomiędzy inteligencją i massami, pomiędzy dojrzałym wiekiem i głowąsem junactwem, w tej hierarchii, którą nie bez racyi zwano *studentokracyą*, poważne głowy, stanowiące czoło narodu, oddały się na posługę powstania, poniżyły się aż do pełnienia funkcyi prostych, biernych narzędzi. Po zamachu na życie W. księcia, ogół obywatelstwa nie zdobył się nawet na protest, którego wymagała najprostsza uczciwość, nie zgodzono się na stanowcze odepchnięcie, przez stósowny adres wszelkiej moralnej solidarności z niecnym czynem, zaś 11 września 1862 pod naciskiem

Centralnego Komitetu delegaci obywatelstwa — czoło i kwiat szlachty, wystósowali do Andrzeja Zamoyskiego swoją sławną odezwę, przezeń przyjętą i zawierającą w sobie ni mniej ni więcej, tylko liberum veto przeciwko wszelkim zrobionym rządowym ustępstwom, i nadaniom i ostateczne przystąpienie do rozpoczętej rewolucyi pod hasłem prostej a bezwarunkowej restauracyi: „dzielić miłości Ojczyzny nie możemy i Ojczyznę kochamy w granicach, jakie Bóg jej zakreślił i tradycye historyczne przekazały. Wtedy tylko rząd z zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym polskim i gdy ustawą zasadniczą złączone będą wszystkie prowincye Ojczyznę naszą składające.“ Ci 300 nie Termopylskich Spartan, którzy adres ten podpisali, a z nimi i adresat, któren go przyjął, rzucali w otchłań odmętu, w paszczę smoka rewolucyi nietylko siebie i swoją przyszłość, ale i rzeczy do nich nie należące, bo losy szlachty i ludności polskiej w ziemiach litewskich i ruskich, na niechybną zgubę i pożarcie. Po tym akcesie można rzec, że kość była rzucona, powstanie zdawało się koniecznością, rzeczą już nie odwoalnie, przynajmniej w myślach, dokonaną, a za myślami musiały pójść i czyny. W słowach, które margrabiemu przypisują, jako daną przezeń odpowiedź delegacyi schlachty, domagającej się, aby im moralnie potwierdził swoje obstawanie przy Unii Lubelskiej, maluje się nie duma, ale najwyższa rozpacz Wielopolskiego. Podobne są one do złamania, na nic już żołnierzowi nieprzydatnej, szpady o zgięte kolano: „waszego poparcia nie żądam ani potrzebuję. Dla Polaków można czasem coś dobrego zrobić, ale z Polakami nigdy.“ Po tym najboleśniejszym z ciosów zadanych ręką, z której się go Wielopolski najmniej spodziewał otrzymać, po tem tragicznem zwątpieniu w swój naród, w jego dobre przy-

mioty i przyszłość, a więc i w swoje idee i w pożyteczność swego przedsięwzięcia, rola margrabiego była całkowicie skończona, a samo zostawanie jego na scenie stawało się długą i bezowocną męczarnią. Już mu pozostawało po obrzydzeniu świata i ludzi odejść bez żadnej nadziei i myśleć o spoczynku w cichym, nieplakanym grobie.

XII

---



*[Faint, mirrored text bleed-through from the reverse side of the page, appearing as ghosting of the main text.]*

## XII.

**R**ozstając się z Wielopolskim p. Tarnowski, którego i uwielbia i potępia, nie zdając sobie sprawy za co, a przynajmniej popadając w częste w sądach swych przeciwieństwa, podaje na użytek publiczny moralną naukę, praktyczne zastosowanie swych uwag nad wielkim człowiekiem i program postępowania dla Polaków na przyszłość. — Program ten wcaleby nas nie obchodził, jako nie należący do obranej przez nas materji, gdyby nie miał ścisłego związku z osobą Wielopolskiego, to jest, gdyby nie był ciekawym okazem przetwarzania się idei Wielopolskiego w głowach ludzi społecznych, i kombinowania się téj idei z żywiołami na pozór jój sprzecznymi. W skutek swojego głębokiego naukowego znanstwa i zamiłowania w polskim romantyzmie, p. Tarnowski zrósł się z nim i spokrewnił, stał się romantykiem w literaturze i polityce. Ztąd jego obawy „o upodlenie ducha,“ o „polityczny pozytywizm,“ którego niegodnie nadużywając imienia Wielopolskiego i zakrywając się niby jego systemem, zaszczepia się w Warszawie,“

i najzgubniejsze owoce przynosi," „o jad, któren się nam strugami w gardło wlewa, a sprawia to, że zatruty nim nic nie szanuje, w nic nie wierzy, nic nie pamięta" (Prz. polski, styczeń 1880, str. 108—117). Lecz w skutek zastanowienia się nad ciężkimi następstwami powstania 1863 r. i nad błędami, które to powstanie zrodziły, spora doza przekonań Wielopolskiego przesączyła się w nasze, stała się, że tak rzekę, naszą krwią i mózgiem. Zdrowy, silny realizm Wielopolskiego przegląda z tych słów, które napisał p. Tarnowski: „dziś na całej ziemi polskiej nie znalazłby się może nikt, ktoby powiedział: nie czekać, nie zwlekać, ale kropić i robić powstanie." — Powstanie okazało się sposobem tak złym, że nikt nie śmie już ratunku w nim szukać i wskazywać. Prawo nasze do odzyskania niepodzielnej ojczyzny jest, ale uszczuplone tem, żeśmy się sami do upadku przyczynili. Okoliczność ta moc naszego prawa osłabia. My nasze prawo pojmowaliśmy jako wierzytelność, która nam powinna być spleconą, przejdźmy na stanowisko obowiązku powstać *nie z bronią* w rękę, ale o własnych, rzeczywistych, prawdziwych siłach. Kto chce chodzić, musi naprzód utrzymać się na nogach.... Więc pod takimi rządami jakie są, żyć, stać się im potrzebnymi..., przy nich rządu się uczyć. Nawet co się tyczy rosyjskiego rządu, zachowywać się rzetelnie i uczciwie i nie zrobić drugi raz tego, co się z Wielopolskim zrobiło." Najzupełniej podzielamy uczucie, które podyktowało p. Tarnowskiemu wyrazy gniewnego oburzenia przeciwko tym, którzy traktując sprawę Polski sceptycznie i cynicznie „gotowiby *bez warunków*, za proste równouprawnienie, chwycić i pocałować rękę — która się do nich.... *nie wyciąga*. Te piękne słowa zakreślają dokładnie linię demarkacyjną, po jednej stronie której są ludzie prawdziwie narodowi, ojczyznę z godnością miłujący, a po

drugiej motłoch i bydło, chociażby w galonach i ornatkach. Po za temi radami p. Tarnowskiego, które do takiego stopnia są dzisiaj w duchu czasu, że wyglądają jako utarte komunały, stoi nierozstrzygnięte wielkiej wagi i stanowcze pytanie: chociażbyśmy trwali czy zdołamy wytrwać jako naród w obrębie Rosyi, bo gdy nie zdołamy, do czegoż doprowadzi samo trwanie przy skazaniu nas na śmierć w naszej zbiorowej egzystencji? Na to pytanie p. Tarnowski nie odpowiada i zbywa nas samemi sprzecznościami. — „Gdybyśmy przed laty, powiada on, zamiast powstania, przyjęli myśl Wielopolskiego, być może — nam osobiście *zdaje się*, że i w takim razie *nie*, — ale być może, że znalazłoby się rozwiązanie sprawy. Dziś już zapóźno.... bo polityka Wielopolskiego w powszechnym potopie runęła.... Gdyby pod rossyjskiem panowaniem (stan rzeczy) cudem jakim mógł jeszcze, czy miał się zmienić, (wypada nam) robić to samo, co robimy pod austriackiem. Jeżeli stan ucisku i obciążonej zemsty nie ustanie, żyć jak można, zatrzymać w sobie dech i życie i trwać.... Dziś Rosya zaszła tak daleko w namiętności, nienawiści, arrogancyi, że już ją z téj drogi nie nawrócić wcale, a gdyby chciała, czyby mogła, rozsprężona, rewolucyą socyalną zagrożona, z kamaryllą, zamiast rządu, i bez ludzi zdolnych tym stanem rzeczy zapanować? Politykę chociażby *wstrętną* porozumienia z Rosyą *nie mamy dziś o kogo w Rosyi oprzeć*.” — Nie może być kategoryczniejszego przyznania się do zupełnej niewiadomości o tem co jest, co będzie i co trzeba robić. Kto tak jest niezaradny, mógłby się z radami i programem *powstrzymać*, nie spieszyć, nie zaś rozumować w ten bardzo nieporęczający sposób: może tak — może nie — lepiej było tak — ale serce jakoś podpowiada że nie. Instynkta serca w polityce nie popłacają. Polityka nie rozprawia

o rzeczach wiadomych, ale docieka wnioskując za pomocą przypuszczeń i co chwila musi w ten sposób, jeżeli nie chce zostać próżnym gadaniem, rozwiązywać zagadki z zakresu życia praktycznego. Mit grecki opowiada, że gdzieś w Tebach przy drodze zasiadł sfinks i zadawał przechodniom zagadki, a nieodgadujących albo nietrafnie odgadujących pożerał. Dziś ten mit urzeczywistniony. Rossya jest takim sfinksem, my stajemy w roli Edypa, i zmuszeni jesteśmy albo odgadnąć czem jest ta Rossya, z którą sprzężeni jesteśmy od wieka, i skuci, a przez to uratować się, albo wyrodzić się i zdziczeć. Pan Tarnowski nie może czy nie chce odgadywać; pan Tarnowski nie będzie naszym Edypem. A jednak jeżeli sięgniemy myślą w czasy przeszłe, będziemy musieli przyznać, że role się zmieniają, że kwestya polska jest w samej Rossyi wrzodem wewnętrznym, że w chwilach, kiedy wrzód ten najbardziej dolegał, to jest epokach zaognienia, Polska stawała też w obec Rossyi w postaci sfinksa, a Rossya łamała sobie głowę nad tajemnicą odwrotnie stawiając się zagadki.

Postawmy się na stanowisku Rossyanina w r. 1861 i 1862, i zastosujmy logikę pana Tarnowskiego. Ten Rossyanin niechybnieby powiedział: Polska — to naród bardzo chory, może chory śmiertelnie, z nierozwiązaną u nóg swych kwestyą socyalną, z inteligencyą goniącą za widmem restauracyi, bez średniego stanu, z szlachtą dbalą o kieszeń i pańszczyznę, bez żadnej odwagi cywilnej, a pod naciskiem ruchawki i motłochu domagającą się dziwacznych rzeczy, bo bodaj Rygi i Smoleńska. Jest tam jeden człowiek — Wielopolski, ale jeden człowiek nie może mieć rozumu za wszystkich. Skonkludowawszy, że nie ma na kim i na czém *oprzec politykę* w Polsce, tenby Rossyanin, działając zaiste wedle logiki

p. Tarnowskiego nie dopuścił ani jednego ustępstwa i nie byłoby faktu, który coś znaczy i którego nie utonął w powodzi, jak nie utonąła w niej, śmiemy twierdzić, polityka margrabiego, że w pewnej niedawnej chwili dziejowej, rząd rossyjski, działając zupełnie zgodnie z ówczesnym usposobieniem swojego narodu, uznał potrzebę naprawy zadawnionego zła, jakkolwiek go nazwiemy, uchybieniem czy krzywdą dziejową i nie targując się przyznał prawo, a zarazem dał środki naprawy jego tak znaczne, że część ich stanęłaby do miary, dziś skromnych, bo znizonych naszych nadziei i życzeń. To przyjazne usposobienie dla Polski trwało dość długo w publiczności i ustało ostatecznie po notach mocarstw zagranicznych do gabinetu petersburskiego, a więc po zagrożeniu interwencyą. Odtąd instykt samozachowawczy przemówił jeden i krwawe dzieło się poczęło, wywołane i tem powstaniem i tą możebną interwencyą. I w ludziach i w narodach w chwilach passyi przebudzają się zwierzące instynkta. Z tego powodu radzilibyśmy p. Tarnowskiemu, którego w tymże listopadowym zeszyte Przeglądu polskiego z r. 1879, tak dobitnie się wyraża o słowiańskim bracie Kaimie, aby się porachował z pamięcią i obliczył i czy i nasz naród nie poczuwa się do żadnego uchybienia i grzechu? czy nie miała miejsca na przykład w latach 1607—1612 akcja polityczna na wschodzie słowiańskim, przypominająca wyprawy hiszpańskich junaków na Meksyk, wielkie czyny naszych Korteżów i Pizarrów. Wiele rzeczy zdrożnych płynie nam z Rosyi, warto byłoby skorzystać przynajmniej z rzeczy dobrych, a pomiędzy niemi z osławionego krytycyzmu rossyjskiego, którego każe mieć na pamięci nietylko same sławne czyny swoich przodków, ale i nie sławne, a godne surowego potępienia. Pan Tarnowski z symptomatów

obecnej choroby zapalnej wnioskował o organizmie w ogóle, a zatem i o stanie zdrowia, wypuszczając z uwagi, że stan chorobliwy zapalny jest tylko przejściowy i albo się rozwiąże prędkim rozkładem organizmu, czego się trudno spodziewać, albo wyzdrowieniem. P. Tarnowski jest w położeniu tego człowieka, któren znalazłszy się wśród samych drzew nie może dopatrzeć się lasu, a rozebrawszy i skrytykowałszy wszystkie partye, tylko nie dostrzegłszy samego narodu, jest w niemałym kłopotcie o co się oprzeć w Rossyi. Isnieje państwo bardzo znaczne w oryentalnym stylu zbudowane. Kto je wznosił i zbudował? Oczywiście naród, któren nie przestał istnieć i mieszka dotąd po za tą wystawą. Absorbcyja i centralizm są to popędy i własności tego państwa — nie konieczne narodu. Samo państwo ma ruch absorbcyjny przerwany, a bałtyckie prowincye, Finlandya, nawet próba polskiej konstytucyi 1815 za Aleksandra I., świadczą, że w państwie tem mogą się mieścić, nie rozkładając się, rozmaite osobniki narodowe, nawet bardzo różnoplemienne. Do wewnętrznej walki partyj, toczącej się w tym narodzie, nie mamy prawa wtrącać się — nie naszą rzeczą sadzić palce między drzwi. Z nim, jako z całością, powinniśmy się porozumiewać, a skorobyśmy się porozumieli, odmiana stosunków i ustanie ucisku byłyby tylko kwestyą czasu i to nie nader długiego, bo zawsze bierze górę zrozumiana moc okoliczności. Równouprawienie nam się należy i minąć nas nie może. Tam gdzie od góry aż do spodu, jak na przykład w Królestwie, skład etnograficzny społeczeństwa jednaki, język narodowy jest do odzyskania w szkole, sądzie, w urzędzie, a i autonomia w stosownym obrębie i zakresie musi dać się w przyszłości przeprowadzić, trudniejszą jest do rozwiązania kwestya polska w ziemiach litewskich i ruskich; tu stać wypada

i na gruncie autonomii miejscowej i decentralizacji, i łączyć się ze wszystkimi żywiołami etnograficznymi nie rosyjskimi (z tak zwanym separatyzmem) i opierać się pochłonięciu różnorodności przez panujący państwowy język i zwyczaje. Sposób naszego działania powinien być, o ile można, czynny, głęboko obmyślany, konsekwentny. Nie dla nas dzisiaj pora składać senne głowy na wonnej poduszce poezji romantycznej, która w swoim czasie pędziła ludzi do bitwy i powstania, a dzisiaj zmieniła się w miękkie wezglowie dla wahania się i bezruchu. Tak u siebie, pomiędzy swojemi, jako i w Rosyi powinniśmy się przedewszystkiem rachować z duchem i usposobieniem narodowym, publicznem, o którym Wielopolski tak się wyraża (Bibl. Ord. Mysz. r. 1859): „lekkiiej, powierzchownej, w swoich okrzykach nieustającej i zmienniej opinii umysł rozważny i niepodległy nie zwykł cenić zbyt, lecz odmienny od takiego gwaru jest duch publiczny, który z głębi społeczeństwa się dobywając, nie zawsze się odzywa, ale nawet w zawieszeniu swoich sądów w odchłaniach swojego milczenia dumać nie przestaje, aby prędzej czy później nie już jako przemijająca błyskawica, lecz wspaniale i wolno, jako słońce wschodzące, każdą sprawę ludzką, każdą opinię przelotną nieubłaganem promieni swoich światłem rozjaśnić.“





31077/2

N1

## KSIEGARNI J. K. ŻUPAŃSKIEGO

w Poznaniu.

- Jełowicki Al.** Moje wspomnienia. Wyd. drugie. Poznań, 1877. 7,50 M.
- Kraszewski J. I.** Program polski 1872. Myśli o zadaniu narodowem. Poznań, 1872. 1 M.
- Litwa** pod względem prześladowania w niej kościoła katolickiego od roku 1863 — 1872. Wyd. Bibl. Polskiej w Paryżu. Poznań, 1872. 3 M.
- Na Ukrainie.** Tragedya w pięciu aktach z prologiem i epilogiem. Poznań, 1873. 6 M.
- Polityka samobójstwa.** Uwagi nad pisemkiem: „Polska i Rosya w r. 1872,“ przez byłego Członka Rady Stanu Królestwa Polskiego. Drezno, 1872. Poznań, 1872. 75 fen.
- Wspomnienia** z r. 1788—1792. Poznań, 1862. 3 M.
- Wspomnienie o Kownie,** przez Bonawenturę z Kochanowa. Poznań, 1854. 1,50 M.
- Zbiór praw** dotyczących się narodowości i języka polskiego w W. Ks. Poznańskiem. Poznań, 1861. 75 fen.

